

MARIA RODZIEWICZÓWNA

GNIAZDO BIAŁOZORA

TEKST POWIEŚCI WEDŁUG WYDAWNICTWA POLSKIEGO R. WEGNERA.

POZNAŃ

MARIA RODZIEWICZÓWNA „PISMA”, T. 36).

PROLOG

Jeziro leżało, lśniąc srebrem w triumfie słonecznym majowego odwieczera. Wszystko żyjące było barwą, wonią i śpiewem: łozy* i trzciny, olchy i brzozy, porosty wodne, jałowe piachy nadbrzeżne i powietrze aż mgławce od kwietniowego pyłu. Cały kraj święcił gody!

Otulony w gąszcz łoż, w zatoczce skąd widna była bezkresna, gładka toń wodna, niewidzialny w nawistych warkoczach brzozy, stojącej w wielki kierz* jemoły, stał człowiek ze strzelbą i patrzył. Słońce miał za sobą, więc wzroku nic nie ćmiło i biegł po widowisku cudnym dla przyrodnika. Bliżej w czerotach* roilo się od kaczek wrzaskliwych, swarliwych, łapczywych i rozpustnych.

Zielonogłowe kaczory hulały zapamiętale lub tłukły się do pół śmierci. Wrzask panował jak w karczmie. Smyrgały wśród tej kaczkiej czeredy kuliki i rybitwy, bekasy i czajki — czasem porywał się i odlatywał zgorszony gomonem* ciężki kulon* lub bąk*, spłoszony w swej medytacji.

Na gładzi jeziora, jak zjawy, wytryskiwały z głębi nury* i nikły, przepływały majestatycznie jak nawy czarne łabędzie, przemykały śmiesznie czubate perkozy, muskały lotkami o toń w tańcach i korowodach, w igrzyskach i łowie czajki, zabłąkane mewy, przelotne miękopióry* i burzyki*, którym w tej rozkoszy godów nie spieszo było na daleką północ.

Wrzaski, poświsty, chrapliwe wabię*, chichoty, trąbienia, hejnały, bitewne wyzwiska — cała orkiestra wiosennej gry życia.

Parę razy, na widok rzadkiego gościa, myśliwy kładł prawicę na strzelbie, jakby ją od boku do oka chciał podnieść, i w pół ruchu ustawał w refleksji — przed mordem.

A wtem w błękicie nieba zamajaczył ciemny punkt i ozwał się gwizd drapieżny.

Jeziro nagle opustoszało, co żyło, skryło się pod wodę lub w chaszczę i zapanowało milczenie łąku.

Wielki ptak zatoczył krąg nad wodą, białawymi, potężnymi skrzydły prawie musnął toń i odpłynął w dal błękitu.

Uśmiechnęła się cała twarz człowieka.

— Witaj bracie! Dobrych ci łowów!

Długą chwilę obumarło jeziro trwogą.

Pierwsze nabrały rezonu kaczki, bezpieczne w trzcinach, ale nie śmiały wytknąć się na szeroką gładź — buszowały bezczelnie w ukryciu. Tedy myśliwy powoli sięgnął do torby u boku.

— Bracie, pomogę ci! — cisnął daleko na wodę ciemny przedmiot i zawabił jak cyranka.

Natychmiast z łoż porwały się dwa kaczory i spadły z pluskiem na wodę otwartą.

Jak aksamity świeciły ich zielone głowy — płynęły na wab samicy.

* Łozy — wierzbowe ewentualnie wiklinowe zarośla.

* Kierz (reg.) — krzak.

* Czeroty — oczerety: roślinność wodna porastająca brzeg.

* Gomon (przest.) — hałas.

* Kulon — ptak z rzędu mew-siewek.

* Bąk — ptak z rodziny czaplowatych.

* Nur — gatunek ptaka wodnego.

* Miękopiór — kaczka przylatująca do Polski z północy.

* Burzyk — in. nawałnik: ptak podobny do mewy.

* Wabię — głos ptactwa w okresie godowym, przywołujący partnera.

Nie zdążyły — jak pocisk spadł na nich ptak mocarny i już trzymał jednego w szponach stalowych, bez wysiłku uniósł zdobycz w powietrze i popłynął w błękitie ku ciemniejszym w dali borom.

Patrzył za nim człowiek z wyrazem przyjacielskim w oczach. Patrzył długo, aż dal pochłonęła skrzydlatego władcę i wyszeptał:

— Użyj, bracie, sytości! I tobie i nam już tu niedługie trwanie i panowanie!

I.

Katastrofa zdarzyła się na piaszczystym gościńcu — w pustce. Samochód zatoczył się jak człowiek kulą tknięty, skręcił w bok, uderzył o krzywą sosnę i przewrócił się.

Szofer wyleciał w powietrze i padł z jękiem na ziemię. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, krzyki — potem z rozbitego pudła wydostał się mężczyzna z okrwawioną twarzą i jął ratować resztę towarzyszy.

Było ich dwoje. Kobieta wyszła bez szwanku i wydobyta na drogę, machinalnie zaczęła poprawiać kapelusz, wołając:

— Jureczku!... Panie hrabio, co z Jurkiem?

Okrwawiony hrabia pomógł wydobyć się Jureczkowi, który okazał się szczupłym mężczyzną z trochę tylko nadwichniętą ręką. I oto stanęli wszyscy nad zepsutą maszyną, w pustce — zupełnie bezradni.

— Gdzie my właściwie jesteśmy? Trzeba wydobyć mapę. Ach, do diabła, ręką nie władam.

Hrabia zaczął szukać mapy we wnętrzu samochodu.

— Panie hrabio! I moją torebkę proszę mi wydostać! — wołała kobieta. — Ach, dziękuję panu. Mówiłam ci dawno, mężusiu, że ten komunard* szofer zrobi sam na złość rozbicie*! Pewnie był pijany.

Wtedy dopiero właściciel obejrzał się wokoło.

— Do diabła, a toć on leży bez ruchu. Zabił się.

— Ech! — mruknęła lekceważąco dama, wydobywając z torebki puder i przeglądając się w lusterku.

Szofer nie był zabity — leżał zapatrzony w niebo, obojętny na wszystko.

— Potłuczni jesteście mocno, Sawicki? — spytał, stając nad nim chlebowadca.

— Nogę mam złamaną! — odpowiedział spokojnie.

— Co się stało?

— Kierownica pękła!

— A do diabła! Co teraz robić?

— Do ludzi iść — po pomoc i szukać innego szofera. Ja mam miesiąc szpitala.

Hrabia rozłożył mapę na piasku i orientował się.

— Jesteśmy tutaj... Do Zahosta siedem kilometrów. Ale tu na zachód powinna być niedaleko Nietroń — wieś i dwór. Zaraz się rozejrzę! — Wyszedł na piaszczyste wzgórze i po chwili obserwacji przez lornetkę wrócił.

— Zaraz się kończą piaski i widać na prawo wieś — na lewo pewnie dwór. Nie dalej jak kilometr na oko. Pójdę tam po pomoc.

* Komunard — tutaj: wywrotowiec, rewolucjonista.

* Rozbicie — tutaj: kraksa, wypadek.

— Pójdziemy wszyscy. Ja tu za nic nie zostanę — zaprotestowała dama.

— Sawicki — miejcie oko na maszynę! — rzucił pan.

Szofer nic nie odpowiedział, a oni ruszyli: dama uczepiona ramienia hrabiego, jej mąż utykając na nogę i piastując wykręconą kiść.

Był to żałosny pochód. Pantofelki damy grzęzły w piasku, przewracała się co krok z powodu wysokich obcasów, piszczała, jęczała, bliska płaczu, zanim przebrnęli wydnię. Potem znaleźli ścieżkę wydeptaną od wsi i ruszyli ku dworowi.

Znaczył się gromadą starych drzew i wrzaskiem czarnej chmury gnieźdzących się w pobliżu gawronów.

— Ach, cóż to za straszny kraj! — jęczała dama. — A te komary! Jak ja będę wyglądała! A kto tam mieszka! Dzicy ludzie!

— Zapewne jakiś zbankrutowany szlagon. Znam tę nazwę Nietroń, ale nie pamiętam właściciela.

— Polowanie na kaczki musi tu być wspaniałe — ozwał się mąż damy.

— Chyba mi nie każesz towarzyszyć!

— Nie. Znajdziemy lepsze u hrabiego!

— Niezawodnie.

Ścieżka zmieniła się w polną drożynę, pełną wybojów i kałuż z widocznymi śladami, że wożono świeżo nawóz. Po obu stronach były już pola uprawne, przygotowane pod kartofle.

I oto znaleźli się w obejściu dworskim. Podwórze otaczały drzewa dzikie i resztki płotów, połatane starym drutem kolczastym. Wprost otworu, gdzie niegdyś była brama, stały resztki spalonego domu i dalej sad. Na lewo długa, niska, słomą kryta oficyna była widocznie zamieszkała, bo kręciły się tam kury i czekały psy.

Zresztą nie było widać śladu człowieka i wielka cisza południowego posiłku i spoczynku panowała nad tym dworem, zmacona tylko zgiełkiem gawronich łęgów w olszynie opodal.

Skierowali się ku oficynie, a że nikt na spotkanie nie wychodził, hrabia otworzył środkowe drzwi pod gankiem z daszkiem i znaleźli się od razu w izbie niskiej, drugiej i pomimo słońca trochę mrocznej, gdzie przy stole obiadowało sporo osób.

— Przepraszam państwa! — rzekł hrabia. — Rozbił się nam samochód na trakcie — jesteśmy poturbowani, bezradni w tym bezludziu i prosimy o ratunek.

Od stołu powstał mężczyzna wysoki, szczupły, z gęstą szpakowatą czupryną.

— Proszę państwa! — rzekł spokojnie, bez wielkiego zapału.

— Jestem Wiesztorp z Rydwian, a to moi towarzysze podróży, pan wicewojewoda Siecki z małżonką — przedstawił się hrabia.

— Białożor! — mruknął gospodarz. — Proszę — niech się państwo rozgoszczą. Pan hrabia potrzebuje opatrunku, widzę — Michale!

Na to wezwanie wstał od stołu drugi mężczyzna, taki sam szczupły i szpakowaty, a reszta obiadujących poruszyła się ze swych miejsc.

Stary jegomość z wielką brodą patriarchy wycofał się zaraz w głąb domu, podeszła jejmość znikła w bocznych drzwiach, dwoje dzieci, chłopak i dziewczynka, smyrnęły za nią. W izbie zostali dwaj mężczyźni i dziewczyna, która się zajęła rozkładaniem na stole nakryć dla gości.

— To mój brat, trochę doktor — rzekł Białożor. — On pana opatrzy. Czy nikt na miejscu wypadku nie został ciężko ranny?

— Owszem. Szofer tam leży ze złamaną podobno nogą — i samochód trzeba zabezpieczyć.

Michał już zbadał hrabiego.

— No — to głupstwo. Jodyną zalać i benzyną krew zmyć. Ida — daj mi tu apteczkę.

Dziewczyna wyszła i wróciła z pudełkiem. Podstawiła je pod oknem na ławce, przy czym ani spojrzała, ani okazała zajęcia gośćmi.

Za to dama nie spuszczała z niej szyderczych, krytycznych oczu. Żeby ujrzeć takiego raroga, trzeba było zajechać w ten deskami zabity kraj. Była wprawdzie dorodna, swobodna w ruchu i nawet niebrzydka, ale kiedy była, i czy w ogóle była między ludźmi?...

Głowę oplatał warkocz, gruby i tęgo spleciony, barwy dojrzałej pszenicy. Miała na sobie ciemną bluzkę pod szyją i z długimi rękawami, spódnicę tak długą, że ledwie widać było ciemne pończochy i skórzane sandały bez obcasów. Ręce i twarz były opalone jednolicie a brąz, a ręce miały zgrubiałe stawy.

— Dziewka do trzody! — zdecydowała dama.

Tymczasem gospodarz wyszedł i po chwili zajechał pod gmach wozem pojedynczym, wysłanym słomą.

— Michale, jedźmy po szofera... Ido, podaj państwu obiad i przyrządź posłanie w stryja pokoju dla tego biedaka.

— A co zrobić z samochodem? — zakłopotał się wicewojewoda.

— Radzę odstawić go końmi do Zahosta. Jest tam poczta. Wyślę depeszę do Rydwian — do wieczora mój przyślą, i będziemy mogli dalej jechać. Pan będzie tak uprzejmy wynająć na wsi konie i posłańca na mój rachunek — hrabia sięgnął do pugilaresu.

Ale Białożor odparł spokojnie:

— Posłałem już cztery fornalskie konie po samochód — i oto chłopak — co z depeszą konno do Zahosta pojedzie. Proszę, niech się państwo tymczasem posilą. Ruszajmy. Michale, tam człowiek bardzo nas wygląda.

— Proszę na obiad! — rozległ się cienki głosik i dziewczynka dziesięciolatka postawiła na stole półmisek kartofli i zaczęła rozlewać barszcz na talerze.

Zasiedli. Nakrycie było złożone z grubego fajansu i wytartego frażetu^{*}; czarny chleb, dzban mleka i bukiet bzu na stole.

— *Pauwes gueux! Comme c'est rustique!* — rzekła dama. — *La petite est gentille* ...

— Jak się nazywasz kochanie?

— Terka. Ale ja umiem po francusku.

— Taak! A któż cię nauczył? — zaśmiał się hrabia.

— Ciocia.

— A ty tu dawno mieszkasz?

— My tu jesteśmy zawsze. A tylko stryj i ciocia przybyli do nas z Rosji. Mamusi nie pamiętam, bo umarła na tyfus, gdy miałam trzy lata, a Michaś pięć. Nas hodowała Ida.

— A któż jest Ida?

— Nasza najstarsza, co tu wszystkim rządzi.

Gwarząc, przysuwała półmiski, kroiła chleb, zmieniała talerze, przejęta swą rolą gospodyni. Na zakończenie przyniosła foremkę czerwonego kisielu z żórawin i rzekła:

— To już wszystko — i zniknęła.

Towarzystwo zapaliło papierosy, po czym wyszli na ganek, a potem ścieżką — w stronę sadu. Stał jeszcze w pełni kwiecica, rozgrodzony, zdziczały, ale pełen subtelnej woni i brzęku pszczoł. Damę jednak rychło wypłoszyły komary i wróciła ku domowi.

— I trzeba tu tkwić do wieczora! A jeśli samochód hrabiego się spóźni, to może nawet przenocować! — pomyślała z rozpaczą.

Szofer, pozostawiony na drodze, cierpiał bez skrzywienia. W wojsku był kilka razy ranny — nauczył się cierpliwości. Ułożył się trochę wygodniej i trwał w swej bezradności.

I oto ujrzał jak z pomiędzy krzaków jałowca, czając się i rozglądając, wyszło na drogę czterech chłopców i dziewczyna, wiejskie, obdarte, dzikie pastuszki.

* Frażet — platerowany wyrób (od nazwiska XIX — wiecznego warszawskiego fabrykanta J. Frageta).

* *Pawres gueux! Comme c'est rustique! La petite est gentille* (fr.) — Biedni nędzarze. Jak (bardzo) jest to wieśniacze. Mała jest miła.

Zawahali się na jego widok, ale gdy pozostał nieruchomy i oczy przymknął — obstąpili samochód, obejrzeni i zaczęli rewidować, jeden, najśmielszy, ściągnął derę, drugi dobrał się do koszyka z zapasami, dziewczyna ściągnęła szal jedwabny damy — czwarty, najstarszy, zbliżył się do niego — pochylił się — sięgnął do kieszeni skórzanej kurty.

Szofer błyskawicznym ruchem wy dobył rewolwer i wypalił w powietrze.

Zgraja rzuciła się do ucieczki, porzucając zrabowane rzeczy, a jednocześnie ukazał się na drodze wóz i nadbiegł Białożor.

— Strzelał pan? — spytał. — Do kogo?

— Do powietrza*. Jakies dranie chłopskie już przyszyły rabować.

— Nie ma czemu się dziwić. Cała wieś niedawno wróciła z bolszewii. Co pan ma złamanego?

— Lewą nogę — polskim szczęściem pod kolanem. Bez doktora się nie obejdzie.

— Damy rady. Je jestem „kostopraw”* — odparł Michał Białożor.

— Ale musi pan przecierpieć przewóz pod dach. To niedaleko.

— Choćby i daleko! Byłem w korpusie Dowbora*, znam się z tym krajem i drogami. A moi burżuje?

— We dworze u nas. A ot konie i ludzie po samochód... No — dźwigniemy pana. Weźcie mnie za szyję — i zaciśnijcie zęby. Gdy go złożono na słomie zbieła aż do warg z bólu, ale nie syknął.

Dał mu doktor łyk wina z blaszanej manierki i powoli, stępa ruszyli ku domowi. Białożor został, dyrygując transportem rozbitego samochodu.

Gdy zajechali przed dom, dama zakryła oczy i schroniła się do wnętrza.

— Hej — jest tam kto? Chodź, Ida — zawołał doktor. — Weź go krzepko za szyję — dobrze. — Michaś, otwórz drzwi szeroko do naszej stacji. Ostrożnie, powoli — równo. Zemdlą — nic to — zaraz się ocknie. Teraz go rozebrać. Zamknij, Michaś, drzwi. To nie widowisko dla gapiów, a człowiek, co cierpi.

Stosowało się to zapewne do damy, która zaglądała do pokoju, skrapiając sobie czoło wodą kolońską.

Od sadu nadeszli mężczyźni, ale zajęli się chłopakiem, który na spienionym koniu wrócił z kwitem depeszy i zaczęli rachować, kiedy może nadejść zbawczy samochód hrabiego.

Nudzili się i niecierpliwili niesłychanie. Miejscowi byli niewidzialni i nikt się nimi nie zajmował. Stary pan z brodą patriarchy snuł się między ulami w sadzie, panna na grzędach warzyw obrabiała motyką kapustę, ciotka karmiła chmarę kurcząt — gospodarz jeszcze nie wrócił z dostawy samochodu do miasteczka, doktor był przy szoferze.

Oglądać nie było wiele. Parę gospodarskich budynków było skleconych ubogo po wojennym zniszczeniu, bydło było na paszy — z obór wyjeżdżały fury nawozu i wlokły się wolno w pole, kilkoro cieląt hasało po okólniku, dwa psy łańcuchowe, schrypnięte szczekaniem na obcych, ukryły się w budzie przed komarami, i jak zwykle na wsi cała wielka praca, trud i mozół walki o byt odbywał się w cichości i niepozornie. Darły się tylko bezustannie gawrony.

— I ci ludzie to znoszą — i mogą tu wytrzymać — oburzała się dama. — Panie hrabio, jak pan myśli? Depeszę już otrzymano? Kiedy przyjdzie wyzwolenie z tej męki?

— Myślę, że o zachodzie słońca!

— Ciekawym, czy to duży obiekt ten majątek? — zagadnął wicewojewoda. — Za powrotem sprawdzę w urzędzie ziemskim.

* Do powietrza (z niem.) — tutaj: do powietrza, w powietrze.

* Kostopraw (ros.) — nastawiacz kości, znachor leczący zwichnięcia i złamania.

* Korpus Dowbora — I Korpus Polski zorganizowany w 1917 r. w Rosji przez gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego.

— Zdaje mi się, że to graniczy z Rydwianami. Mam doskonałe mapy sztabowe, niemieckie, zobaczymy! Bogactwa tu nie czuć.

— Ani kultury rolnej.

Nareszcie na drodze ukazała się wracająca fornalka i Białożor, a jednocześnie Terka z ganku zawołała piskliwie:

— Proszę na podwieczorek! Weszli do jadalni i Białożor rzekł:

— Samochód zostawiłem pod opieką policji i najlepszego kowala w miasteczku — drobiazgi zabrałem na wóz. Jakże szofer? — spytał wchodzącego brata.

— Wyliże się, ale przeleży ze sześć tygodni. Organizm ma mocno zużyty.

— U mnie służy za ledwie od miesiąca. Zostawię mu pieniądze na kurację i odszkodowanie, i sprawy za niedozór* maszyny mieć nie będzie. Nie chcę go niszczyć, ani mu psuć opinii, ale to zupełnie bolszewik!

— Tymczasem nie warto z nim mówić, bo bardzo wyczerpany i zaczyna się gorączka.

— Zostawię polecenie u komendanta policji, aby nim się zajęli. Przepraszam stokrotnie za ambaras, a koszta wszelkie zwrócę.

— My nie Kasa Chorych*, panie wojewodo, i rachunku prowadzić i przedstawiać nie będziemy — odparł doktor spokojnie.

Dygnitarz spojrział na mówiącego.

— Pan przecie jest lekarzem.

— Ale nie praktykuję. Odpoczywam w domu po podróży.

— A gdzie pan doktor podróżował? — spytała pani.

— Na dwa lata przed wojną — jako student czwartego kursu* medycyny w Warszawie — zostałem zesłany do Tomska. Tam skończyłem nauki i miałem zacząć zarabiać. Ale mnie Moskale zabrali na służbę i tłukłem się po całej Rosji — po szpitalach. Gdy nastali bolszewicy, uciekłem i zacząłem iść do kraju; byłem dwa lata w tajgach, a potem trzy lata przedzierałem się — z przeszkodami — na zachód. No — i doszedłem, ale bez papierów i trochę zmęczony podróżą.

— Wierzę — pięć lat! — zawołał hrabia.

— A państwo ten majątek już dawno kupili? — spytał wicewojewoda gospodarza.

— Nie tak bardzo dawno. Mój pradziad kupił od Jelców sto pięćdziesiąt lat temu.

— Pan znajduje, że to niedawno? — zaśmiał się.

— Nasi sąsiedzi Protasewicze siedzą tu od królowej Bony, a Jelcowie, nasi krewni — od króla Władysława IV.

— W tym strasznym kraju tyle wytrzymać! — zawołała dama.

— To bohaterstwo! I państwo nie mogli sprzedać i wynieść się w inne strony!

Kilkoro par oczu utkwiło w niej. Szarozielonawe ostre źrenice Idy, lekko zmrużone doktora i siwe chłopaka Michasia; Białożor patrzył na świat za oknem.

— Proszę pani i Wiesztorpy z Rydwian siedzą tu od wieków! — zaśmiał się hrabia. — Polesie ma wielką przyszłość przed sobą. Gdy te bagna zostaną osuszone, rzeki ujęte w kanały, miliony ludzi tu znajdzie chleb, a Polska zaspokoi głód ziemi mas włościańskich.

Nikt nie zabrał głosu — więc, by rozmowę podtrzymać, spytał gospodarza:

— A sprawa osadnicza jakże się tu przedstawia?

— Ode mnie zabrano folwark i od Protasewiczów też, ale co się tam dzieje, nie wiem.

— Szkoda, że się Polacy tu nie trzymają solidarnie i nie pomagają sobie wzajemnie. Rządowi chodzi o wzmocnienie żywiołu polskiego na kresach.

— Cieszy mnie to oświadczenie pana wojewody. Może to wróży zapłatę za tę ziemię wziętą pod osadnictwo — a chociażby niepłaceniem za nią podatków jak dotychczas.

* Niedozór — tutaj: niedopilnowanie, brak dbałości o stan techniczny.

* Kasa Chorych — instytucja ubezpieczeń społecznych w Polsce w latach 1920–1934.

* Student czwartego kursu (przest.) — student czwartego roku.

— Rozumie się, że to będzie uregulowane z czasem, ale pan pojmuję, że nie nagle. To są wielkie dzieła, a państwo nasze młode i ubogie, i w stadium tworzenia wszystkiego od podstaw. Zresztą podatki tu są minimalne i przy skrzętności i pracy byt i rozwój zupełnie możliwy. Ma pan pewnie lasy?

— Bardzo zniszczone. Częściowo obrabowane przez Niemców — a potem danina leśna na odbudowę wsi.

— No, to konieczność. Włóścianie musieli mieć dach nad głową i warsztat pracy.

Znowu milczenie.

— Czy państwo mają radio? — spytała dama, zwracając się do Idy.

— Nie! — odpowiedziała z dziwnym uśmiechem.

— To państwo nie mają żadnego łącznika ze światem?

— Owszem. Gmina, starostwo, sejmik i izba skarbowa, czasem policja.

— Starościna bywa u państwa? To moja znajoma. Obydwie jesteście krakowianki.

— Nie znamy towarzysko nikogo z urzędników. Znamy tylko rozkazy władz i ojciec bywa w interesach po urzędach.

— I tak żyjecie bez ludzi?

— Mamy sąsiadów, spotykamy się czasami w kościele. Ale na bywanie trzeba mieć czas i konie wyjazdowe — tego u nas nie ma.

— Ach, co za kraj — i życie! — westchnęła dama.

— Biedny kraj przez Rosjan systematycznie niszczone i poniewierany! — rzucił wicewojewoda. — Sto pięćdziesiąt lat niewoli!

— Przybyliśmy wtedy tu ze Żmudzi i osiedli, i przetrwali do zmartwychwstania Polski! — rzekł Białozor.

— Troje was rodzeństwa? — spytała dama Idy.

— Czworo. Jeden brat jest w seminarium.

— Nauczycielskim? Gdzie?

— Duchownym, w Lublinie.

— Siostrzyczka uroczo rezolutna.

— Głupia! Jeszcze się nie nauczyła milczeć.

— O! To taki wdzięk dziecięcy, a pani potępia — zaśmiała się dama. — Srogo pani rządzi!

— U nas rządzi ojciec, a ja tylko pracuję — od śmierci matki.

— A przedtem była pani pewnie w klasztorze?

— Na pensji w Warszawie!

— Ach, więc pani zna Warszawę!

— Lilusiu! — zaśmiał się mąż. — Czy przypuszczasz, że obywatele tutejsi nie bywają na świecie szerokim. Przecie niektórzy mają już nawet samochody.

— Ach — nie myślę o hrabi Wiesztorpie, który chyba nie siedzi tu stale, z wyjątkiem sezonu polowań. Tu jest zwierzęcy raj, podobno! A pan myśliwy? — zwróciła się do Białozora.

— Nie mam czasu. Mój brat ma do tego pasję, ale jak medycyny nie praktykuje, bo nie ma broni.

— Dlaczego? — zagadnął wicewojewoda.

— Bo dotąd nie może jeszcze otrzymać obywatelstwa, a zatem i pozwolenia na broń.

— Niesłychane. Kiedyż pan wrócił z bolszewii?

— Trzeci rok. Na wstępie wzięto mnie do aresztu, potem zwolniono jako azylanta i sprawa się toczy — pomalutku.

— No, ja ją przyspieszę!

— Myśli pan? — uśmiechnął się doktor.

Dygnitarz poczerwieniał.

— A pan wątpi?

— Najzupełniej. Pan wojewoda zapomni — ale to mniejsza. Nauczyłem się cierpliwości w swej włóczędce, a nie nauczyłem się prosić i dziękować. Zresztą jestem źle notowany w urzędach.

— No, no, zobaczymy! A jak nie zapomnę — to zapraszam się do Nietroni na polowanie. Zresztą zaświadczę, że mi pan zwichniętą rękę nastawił znakomicie — łaskawie zażartował.

— Jezioro wasze i lasy ciągną się aż do Rydwian? — spytał hrabia.

— Nie. Graniczymy z Łuczą Jelców.

W jadalni opustoszało. Goście pozostali tylko z doktorem. Gospodarz przeprosił i przeszedł na gumno, panna wymknęła się, za nią zniknęły dzieci, starsza pani i patriarcha.

Na podwórzu rozpoczynał się ruch wieczorny: nawoływanie drobiu, porykiwanie wracającego z pastwisk bydła, ludzkie głosy i pokrzykiwania.

— Pan te strony, wody i knieje, zna pewnie doskonale? — zagadnął wicewojewoda.

— Włóczęga stała mi się drugą naturą, a przyroda kochanką. Tak, znam te strony, wody, knieje i wszystko, co tu żyje i schron ma, tymczasem względnie bezpieczny. Żeby nie wojna — byłyby jeszcze łosie i bobry — ale to już chłopstwo wyniszczyło.

— Odhodujemy z powrotem przy obecnych ustawach łowieckich. W lasach rządowych mamy już łosie i bobry. Z tego punktu upaństwowienie lasów byłoby wskazane.

Hrabia podał ramię damie.

— Pójdziemy na spotkanie samochodu! — rzekła, uśmiechając się do męża.

Ale, gdy się znaleźli na drodze poza obrębem dworu, skręcili w bok, gdzie stały w przepychu kwiecista bzy i zaczynały swą serenadę słowiki, i zniknęli w gąszczach.

Dama przestała się nudzić i narzekać na komary.

Szofer w półśnie gorączkowym słyszał jakąś gmatwaninę dźwięków. Jak halucynacja wibrował mu oddech samochodu, zmieszany z jakimiś niesamowitymi dźwiękami: bydło, gawrony, monotonne warczenie wirówki, potem znowu samochód, sygnał jeden i drugi, ruch w domu, głosy, śmiechy i odjazd maszyny.

Nastała wielka cisza — przez otwarte okno buchnął zapach rosy i bzów, potem trele słowicze — pociemniało w izbie, usnął na chwilę, ale go zbudził żar gorączki i dotknięcie ręki do czoła.

— Co tam? Jechać?

— Wypić i włożyć termometr! Burzuje już pojechały — odpowiedział doktor.

— A czym?

— Przyjechał samochód hrabiego.

— Dogadza babie. Jeszcze się nie nacieszył. A mnie porzucili, jak psa!

— Zostawił walizkę z rzeczami, dwieście złotych i polecenie do policji, by miała pana w opiece.

— Maszyna, garaż, knajpa, policja, szpital i znowu maszyna, garaż, knajpa, szpital — całe życie. No — i pieniądze na wódkę!... W kółko, w kółko, w kółko — aż do ostatniego rozbicia — już na fest. Proletariacki byt... Łajdackie obiecanki. Nadejdzie wreszcie dzień wypłaty — sędziami wtedy będziem my!...

Majaczył, chrapliwie zaśpiewał, i zaśmiał się.

Doktor podał mu lekarstwo, zmierzył gorączkę i poprawił poślanie.

— Co to tak huczy? W uszach mi dzwoni!

— To cisza. Macie tu pod ręką picie, starajcie się zasnąć. Przed wami teraz czas spokoju — macie przy sobie przyjaciół. Jakby wam co dolegało — wołajcie — przyjdę. Okna nie zamykam, bo majowa rośna noc zdrowa!

— Dziękuję panu! — odparł szeptem.

Doktor światła nie zapalał. Słyszał było, że z kimś rozmawiał z cicha, szeleściło siano, ktoś słał na podłodze, potem rozległ się szmer dwóch głosów na przemian. Szofer wyteżył słuch — doleciały go słowa:

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...”

Pan Michał z Michasiem odmawiali wieczorne pacierze. Dwór cały był w wielkiej ciszy spoczynku po dziennym trudzie — w bzach zawodziły słowiki.

II.

Stara Łuczycha, kucharka, zastukała do drzwi alkierzyka za kuchnią, gdzie mieszkała Ida.

— Panienko, dójki* przyszły!

Dziewczyna zerwała się z pośłania, umyła i ubrała błyskawicznie, zapasała fartuch, wzięła ciężką więź kluczy i wyszła. Dwór już zaczynał dzień roboczy. Spotkała ojca, idącego do stajen, wuja Kajetana, zajętego wiązaniem psów–stróżów, i otworzyła drzwi do piwnicy. Dójki wzięły konew na mleko i poszły do obór.

Ranek był jeszcze ledwie perłowy na świt. Zaskrzypiały źórawie studzienne, dopominały się żarcia cielęta, konie, piały koguty, snuli się ludzie. Ida pilnowała udoju, potem poszła do piwnicy, narządziła wirówkę, ujęła za korbę i puściła w ruch. Wnuczka starej Łuczychy, jedyna pomocnica gospodarstwa kobiecego, nalewała mleko.

Gdy skończyły, poszły do cieląt, potem do chlewków trzody. Dźwigały obie ciężkie wiadra, poiły chudym mlekiem łączwywy, małoletni inwentarz. Potem odniosły śmietankę do lodowni*, zabrały rozebrane części wirówki do kuchni, do mycia, i poszły do kurnika, w zgiełk głodnego i żądnego swobody drobiu.

Fornale i rataje* wyciągali za dwór pod wodzą Białozora, a pod bocznym wejściem do kuchni doktor z Michasiem budowali coś niezrozumiałego z kawałków drzewa.

— Co to będzie stryjkę? — rozległ się głosik Terki.

— Robią łóżko dwa Michały — jeden duży, drugi mały! — odparł, piłując.

— A po co łóżko?

— Bo nawet psom niezdrowo sypiać na ziemi, a mamy lokatora przecie. Ida, dasz mi trzy stare worki. Terka, zamiast paplać, zagrzej mleka dla chorego i zanieś mu.

— Czy on bardzo chory, stryjkę?

— Zobacz. Będzie tak samo z tobą, jak spadniesz z góry, dokuczając gołębiom. Michaś, przynieś świder i dłuto z półki.

Ida przyniosła ze spiżarni żądane worki i poszła do kuchni na naradę z Łuczycha co do obiadu, wnet potem widać ją było wśród stada kurcząt, podającą karmę.

Słońce już wstało, umilkły słowiki, wrzał rajkotem gawroni gaj, porykując ruszyły krowy na pastwiska.

— Śniadanie! — zawołała Ida z głębi korytarza, łączącego kuchnię z dużą izbą, służącą za jadalnię, biuro, salon i szkołę.

Wszyscy się stawili karnie, wiedząc, że kto się spóźni — zastanie stół sprzątnięty. Ida nie miała czasu czekać.

* Dójki (przest.) — dojarki, kobiety pracujące przy udoju.

* Lodownia — pomieszczenie do przechowywania w niskiej temperaturze łatwo psujących się produktów.

* Rataje (przest.) — folwarczni pracownicy najemni.

Zajęli swe miejsca. Podawała im duże kubki mleka, chleb czarny leżał do woli — wielki bochen, który kroił misternie dziad Kajetan.

Teraz rozmawiali.

— Jutro sadzenie reszty kartofli. Wczorajszy najazd zmitrężył mi dzień! — rzekł Białożor.

— Żebyż jeszcze z tego nie było większego nieszczęścia — westchnął dziad Kajetan.

— Dlaczego? Bardzo europejscy ludzie! — zaprzeczyła ciotka.

— Urzędniki! Chodzili, oglądali, pytali mnie, ile jest pszczoł. Nałożą podatek!

— Niech się wuj uspokoi. Na nasze kilkanaście pni — jest w gminie chłopskich setki. A że chłopci rządzą — pszczoł nie opodatkują. Był przecież jeden rok podatek od bydła i skasowali.

— Może Bóg da, że o nas zapomną! — stęknął stary.

— Ojciec mi da dziś Semka do miasteczka. Muszę wysłać masło! — rzekła Ida.

— Michaś po lekcjach odwiezie, bo Semko bronuje — odparł Białożor, wstając i sięgając po czapkę.

— Bielizna gotowa do prasowania! — wtrąciła ciotka.

— Pamiętam! — mruknęła Ida, sprząając ze stołu.

— Ja odniosę do kuchni! — ofiarowała się Terka.

— Bierz się do nauki — już siódma.

Na stoliku pod oknem leżały książki i zeszyty. Bez zbytniego zapału Terka rozłożyła jakiś podręcznik i zatopiła się w kuciu. Ciotka zasiadła w fotelu, nałożyła okulary i jęła przeglądać zeszyty.

Jadalnia do południa była szkołą.

Ida, idąc do ogrodu warzywnego, zatrzymała się przy stryju, który już sklecił coś w rodzaju łożka i obszywał workami.

— Stryj mi przyśle Michasia po obiedzie.

— Przysłałbym ci królewicza w konkury, żeby nie tyle republik na świecie.

Ruszyła ramionami i poszła. Godzinę obrabiała z Hanną zagony na ogórki, ale czekało na nią tyle innych robót, że, poleciwszy dziewczynie pośpiech, wróciła do domu.

Narządziła żelazko, deskę — wzięła się do prasowania w kuchni. Dziad Kajetan rozłożył się tam także i nawlekał sztuczną woszczyne na pszczele ramki. Ze stacji stryja Michała, leżącej naprzeciw kuchni, w korytarzu rozległ się głos Michasia, recytującego geografię.

Nagle stary podniósł głowę.

— Boże miłosierny. Znowu samochód!

— Pewnie policja po szofera! — rzekła Ida.

Istotnie, auto zatrzymało się przed gankiem, wysiadło dwóch policjantów i cywilny.

— Ot, i przyjechali po mnie — rzekł szofer, wyzierając oknem. — Policja, Kasa Chorych, szpital.

Pan Michał wyszedł.

— Ze szpitala pan doktor i samochód na rozkaz starostwa. Mamy zabrać rannego! — meldował mu starszy policjant.

— Proszę.

Zapełnili małą izdebkę. Szofer ponuro po nich patrzył — warczeniem odpowiadał.

Doktor zbadał go i obejrzał opatrunek nogi.

— Wszystko w porządku. Czy pan się czuje na siłach znieść przejazd?

— A kto mnie o to będzie pytał. Mam się zaraz zbierać? Spojrzał na pana Michała. W tych ponurych oczach było coś takiego, że ten rzekł:

— Jeśli pan tu woli zostać, aż się wzmocni i odpocznie — to przymusu być nie może.

— Co? mam być na łasce? Niech biorą... Zdechnę tam prędzej.

— Co mi pan jakąś łaską pluje w oczy! — huknął pan Michał. — Moim zdaniem jest pan zanadto wstrząśnięty i osłabiony, żeby telepać się po tych drogach aż do powiatowego

szpitala. To moje lekarskie zdanie, a nie jakaś łaska. Panu nie tylko złamaną nogę trza wygoić, ale i histerię leczyć.

Usunął się z doktorem na korytarz, rozmówił się z cicha, zawołano policjanta, zaczęła się w jadalni pisanina urzędowa.

Gdy samochód odjechał, a pan Michał wrócił, szofer leżał z zamkniętymi oczami i udawał sen.

— Kończmy, Michaś, bo trzeba Idzie pomóc masło na pocztę przyszykować.

I Michaś z cicha dalej recytował geografję.

Znowu cichość rolnego trudu objęła dwór, aż ją zmaćił i przerwał tupot wracającego na południe bydła.

Ida wpadła do izdebki z naręczem wyprasowanej bielizny i już znowu szła do doju, do piwnicy, do wirówki.

Po godzinie znowu znaleźli się wszyscy przy posiłku.

— Przyjeżdżali po szofera? Zabrali? — spytał Białożor.

— Nie zostawili pod moją opieką. Białożor spojrzał na brata.

— Łachman ludzki! Lepiej mu tu będzie.

— Wygląda jak bandyta! Narobisz sobie biedy i kłopotu! — rzekł stary.

— Odpląci się niewdzięcznością! — dodała ciotka.

— Człowiek nie pies, żeby był wdzięczny! — odparł pan Michał. — Stęskniłem się za bolszewikami, postudiuję okaz polski; pewnie ma właściwości rasowe — to interesujące.

— Niech mu u nas będzie dobrze! — zakończył sprawę Białożor i zwrócił się do Idy. — Zabiorę ci Hannę od obiadu, bo w polu za mało robotnika, skończyć trzeba, bo na deszcz się zanosi.

Jak każdy gospodarz, Białożor nie miał dla gospodarstwa kobiecego żadnego względu. Dziewczyna się nie spierała. Robota Hanny spadała na nią, ale w maju taki długi dzień.

— Czy szoferowi nie trzeba posłać obiadu? — spytała stryja.

— Idźno, Terka, spytaj go, bo ze mną nie gada. Poszła Terka i długo bawiła. Wróciła roześmiana.

— Prosi herbaty i książkę do czytania. Więc mu dałam mleka, bo nie ma herbaty — i „Krasnoludki” Konopnickiej — takie ciekawe! Dał też dwa złote i prosił o papierosy z miasteczka.

— To niech mu Michaś przywiezie.

— Ho, ho! Wielki pan! ma na papierosy — mruknął stary.

— A o wódkę nie prosił?

— Ach, co też stryjek mówi! Przecie on nie chłop.

— Skądże wiesz?

— Bo mnie pytał, czy nie mamy krewnych Białożorów w Witebskiem, bo to jego krewni.

— Może być! — rzekł z namysłem stary. — Był Marcin Białożor pod Orszą — za Jana Kazimierza.

— A on nazywa się Stefan Sawicki i jego ojciec był inżynierem na kolei w Bobrujsku.

— Wywiad zrobiłaś porządnie! A pamiętasz, jak się zwie po niemiecku taka papla jak ty?

— Zaraz... — zamyśliła się — już wiem! *Plauderpassa*!

— No to przynieś podręczniki i zeszyty, bo potrzeba ci powtórzyć niemiecki.

— Michasiu, nie zapomnij poczty! — poleciła ciotka i z tym się rozproszyli do roboty.

Po obiedzie pan Michał odrabiał lekcje z Terką w jadalni i trzymał ją trzy godziny. Gdy się nareszcie wyrwała na swobodę jak ptak, on poszedł do swej stancji, zasiadł u okna i zaczął z wielką wprawą żelować stare buty. Szofer czytał — wreszcie książkę odłożył i długo się tej robocie przyglądał.

* *Plauderpassa* (z niem.) — powinno być: *plaudertasche* — gadająca kieszeń, papla, plotkara.

— Obszarniki na psy zesły, kiedy już sami buty łątają! — ozwał się wreszcie.

— Nadchodzi oto dzień odpłaty. Panami wnet będziecie wy! — zanucił doktor z humorem.

— Pana trudno do złości doprowadzić.

— A czego mam się złościć? Pięć lat wydzieriałem się przez Rosję — tutaj. Napatrzyłem się, nauczyłem. Tam obszarnicy nie umieli butów łątać i źle na tym wyszli. A że i tu idzie w tym samym deseniu, ratuję się jak mogę.

Znowu chwila milczenia, przerywana stukami młotka.

— A żeby pan wiedział, że ja się też chamelem nie urodziłem! — burknął szofer.

— Na Węgrzech był wielki hrabia komunistą.

— Symulant, jucha, znam takich. Pierwszą klasą jeździ na wiece. Na ostatniej stacji przebiera się za robociarza i wchodzi do trzeciej. Na wiecu radzi rżnąć burżujów kapitalistów, a na różne cudze nazwiska ma własne domy, wille i kapitały po bankach...

— Ktoś na to pieniądze daje.

— Któżby! Bydło, chamy! A dają — bo myślą — że przecież trzeba jakiś koniec zrobić — bo tak żyć nie sposób!

— Pan mówi, że się chamelem nie urodził. A dlaczego pan teraz za chama siebie ma?

— Pan się pyta. Ubliżyłem panu zamiast podziękować, żeście mnie tu zatrzymali. Czy pan się przynajmniej zabezpieczył, że ta cholera, Kasa Chorych, zwróci panu koszty za moją kurację i utrzymanie? Toć ta drańska instytucja tysiące za mnie ściągnęła.

— Nie mam też ochoty z tą instytucją mieć jakiś interes, i rad byłem ich się pozbyć z chrześcijańskiego domu.

— No, to niech się pan ode mnie niczego nie spodziewa za swą fatygę.

— Nie spodziewam się. Niech się pan uspokoi — przecież Kasa Chorych to zwycięstwo socjalizmu, zdobycz dla proletariatu. Ciężko wam dogodzić. My, nie pracujący obszarnicy, z niej nie korzystamy. Jak jest za co się leczyć, to się leczą — a nie, to milcząc, wyglądają śmierci.

— Ciekawość — po co mnie pan zatrzymał? Chyba macie jakie połamane maszyny i myślicie, że wam się mechanik zda. Potrafię naprawić wszystko od zegarka, maszyny do szycia, broni do młockarni i młyna.

— Nie zgadł pan. Zegarek i ja potrafię zreperować — zresztą jest w domu tylko jeden — u brata, a młockarnię z lokomobilą, co była przed wojną, zarekwirował „Demat” jako zdobycz wojenną, a fortepian spalili Moskale wraz z domem. Nie będzie pan miał ni popisu, ni zarobku u nas. Zatrzymałem pana, bo miałem na to nakaz od bardzo wysokiej władzy.

— Jak to?

— Powiem panu, jeśli będę uważał, że pan zrozumie.

Szofer popatrzył na niego, skurczyła mu się urągliwie twarz, ale w tej chwili pan Michał podniósł głowę, spotkali się oczami i szofer swoje spuścił.

— Wypij pan łyżkę mikstury i włóż termometr pod pachę. Jutro niedziela. Trzeba będzie się okrzętnąć, ogolić, wyszorować — jak młodemu kawalerowi przystoi.

— Ale — kawalerowi. I na to byłem za głupi!

— To może pan list do żony napisze?

— Pewnie! Dawno precz poszła — na zabawę każdemu i wszystkim. Było i dziecko, ale na swoje szczęście — uświerkło już temu dwa lata. Byłaby taka — jak ta mała wasza. Co pan myśli! Mam już trzydzieści pięć lat. A pan żonaty?

— Nie. Miałem dwadzieścia, gdy mnie zesłano do Tomska i nigdy nie zdobyłem tyle, żeby móc żonę utrzymać. Zresztą chciałem wrócić...

— Ja się urodziłem w Bobrujsku. Inżynierski jedynek! Parada! Ale ojciec ciągle w rozjazdach był — a matka żyła zabawą i strojami. Poszedłem do gimnazjum, ale się uczyć nie chciałem. W dwanaście lat już znałem wszelką swawolę i rozpustę, po dwa lata siedziałem w każdej klasie — przepychali mnie pieniędzmi i protegą — aż ze czwartej sam uciekłem,

pokrwawiwszy jakiegoś kolegę — o uliczną dziewczę. Ojciec sprawę zamazał i za karę wpakował do warsztatów — a mnie to była właśnie frajda. Miałem amatorstwo do maszyn. Tymczasem stary umarł, matka za innego poszła i wyjechała do Saratowa czy Samary — a mnie do wojska wzięli w proste żołdacy. I zrobiłem się cham — proletariusz. Gimnazjum z chamami, warsztaty z chamami, żołdactwo z chamami! Rozpusta, wódka, brud, wszy, nory, koszary, kazonna odzież i jadło — i samochód: szoferski przeklęty żywot. A potem wojna! Pędzali od Mazurów do Karpat, od Odessy do Rygi. Trza było kraść i łąć, głodować i rabować, po szpitalach odpoczywać! Pan nie wie, co to żołdacki, moskiewski szpital, to pan nie rozumie!

— Trzy lata szedłem pieszo przez bolszewicką Rosję — do kraju! Rozumiem!

— Do kraju! Otóż to! Do kraju! I ja to słowo posłyszałem! A było to tak! Jak Moskale urządzili swój bolszewicki karnawał — w jakimś miasteczku parszywym — i nasz pułk się zbuntował. Zdobyli gieroje monopolowy skład, pomordowali oficerów i zaczęli hulać. Nie poszedłem na tę operę — bo miałem dość tej uciechy — i spać mi się chciało. Samochody pułkowe stały przy drodze za miasteczkiem, była warta, ale też poleciała na zabawę. Myślę — szkoda pułkownikowskiej maszyny. Rolls był — istne чудо. A żeby nią w świat drapnąć i gdzie po drodze spuścić... Więc narządziłem maszynę i czekam, co będzie. W miasteczku wrzaski — a wreszcie i pożar. Aż słyszę — biegnie ludzi kilkoro, sapią jak miechy, wpadli między samochody.

— Narządźaj, Zawiślak! — ktoś woła.

Poznałem głos porucznika Majewskiego, co nami komenderował — poruszyłem się. Błysnął na mnie latarką, rewolwer podniósł.

— To ty, Sawicki. Narządźaj z Zawiślakiem którąkolwiek maszynę i zmiatajmy. Ledwieśmy z życiem uszli.

— Rolls gotów! Niech pan porucznik siada.

— A tu jeszcze dwóch nadbiegło. Zakrzewski i Ofmański — karabiny mieli w garści, a sami bez tchu.

— Benzyny, ile wlezie blaszanek. Siadajcie, chłopcy, i jazda.

W moment ruszyliśmy — od miasteczka pogoń i wycie. Porucznik siadł obok mnie.

— Palcie, chłopcy — w kupę!

Palnęli — tamci też, aleśmy już byli daleko.

— A dokąd jechać? — pytam.

— Do kraju, do swoich!

— To niech pan porucznik mapę weźmie i komenderuje, bo ja tej drogi nie znam.

— Tam, na zachód! — machnął ręką — precz z tego mongolskiego piekła! Do swoich!

Byłaż to jazda! A ta maszyna! Z kochanką nie miałem takiej uciechy! Cicho szła jak chmura po niebie, a jak wicher prędko. Do rana jużśmy bezpieczni byli od pościgu. Stanęliśmy w lesie, porucznik mapę obejrzał, zorientował się — wytoczył mi drogę. Zakrzewski czerwoną szmatę na patyku umocował, ja maszynie dałem ostygnąć, narządziłem — i dalej.

— Panie poruczniku, mam wódkę! — chwali się Zawiślak i podaje butelkę.

— Ile tego masz?

— Cztery!

A porucznik trzasnął ją o ziemię.

— Wyrzuć jeszcze dwie! Jedna nam starczy.

— Panie poruczniku! — skamle tamten. Ino się porucznik obejrzał!

Miał twarz chudą i dziką — a oczy — jakby lód na bystrej rzece, szkliste i zimne. Zawiślak wyrzucił dwie butelki.

— Jutro rano będziemy u swoich. Odpocznij, Sawicki, ja poprowadzę. Potrząsnąłem głową. Wziąłem największy pęd. Strzelali do nas, jakieś bandy gonity z wyciem, przejechaliśmy kilku, ale nic!

Wieczorem znowu krótki postój — pozwolił nam porucznik wypić po łyku wódki — sam nie tknął, byliśmy jak drewno zmachani, głodni, i bez żadnego myślenia. Znowu noc w pędzie i już świtało, gdyśmy ujrzeli na drodze konnych. Porucznik spojrzął przez szkła i rękę na kierownicy położył. Głosu nie dobył — ale czuję, że mi na rękę coś kapie. A to lód stopniał z oczu porucznika. Rozumie to pan — on płakał.

Zwolniłem, zahamowałem, stanąłem. — Tamci doskoczyli — pięciu było — ułański patrol.

— Coście za jedni? Skąd?

Porucznik wstał, zsalutował i jakimś chrapliwym, zduszonym głosem krzyknął:

— Jeszcze Polska nie zginęła! — upadł jak martwy!

A to był patrol korpusu Dowbora... A ja pierwszy raz byłem w kraju! Pan Michał wstał.

— Spocznijcie! Morowy chłop był ten wasz porucznik. Cześć mu! Wysoko stoi!

— Ale — wysoko. Pod Radzyminem z ochotnikami był i ja z nim. Nogę mu obcięli wyżej kolana. Wysoko poszedł, a jakże! Na poczcie siedzi inwalida i listy adresuje tym, co nie umieją pisać.

— A przecie powtarzam — wysoko stoi!

— Oj kraju, ty kraju! Spalą gazu za tysiące na Grobie Nieznanego Żołnierza i kwiaty noszą na paradach — a my, w gnoju i błocie!

W tej chwili wszedł Michaś i podał mu paczkę tytoniu i resztę pieniędzy.

— Było za te drobne pannie Terce karmelków kupić.

— Eee. Toć byłby wstyd! — oburzył się chłopak. — Tak ciężko zapracowane pańskie pieniądze!

— Oho, kawaler jeszcze się nie nauczył brać!

— My przywykli tylko dawać! — hardo odparł.

— Poczekajcie! I na was przyjdzie kreska i ugniecie łba!

— Nie da Bóg! Stryjku, ja skoczę do ogrodu Idzie pomóc.

— Pójdę i ja. A panu przyślę Terkę z kolacją. A potem spać. Gorączka spada. Zuch z pana.

Gdy szli do ogrodu, Michaś rzekł z cicha:

— Stryjku, czemu on taki zły?

— Z Bogiem się swarzy — więc mu źle. Biedny, zbuntowany człowiek. Trzeba z nim dobrym być!

Tej nocy, gdy wszyscy już spali, Ida jeszcze czuwała, zajęta reperowaniem bielizny. Mała lampka naftowa oświetlała jej alkierzyk ubogi i pusty jak zakonna celka. Ktoś zastukał w szybkę.

Poznała ojca i wyszła do niego.

Usiedli na kłodzie drzewa pod ścianą.

— Był dziś sołtys z nakazem płatniczym — rzekł Białozor.

— Znowu! Toć zapłaciliśmy wszystko!...

— Uchwalił Sejm stuprocentową podwyżkę gruntowego podatku... Wypadnie chyba sprzedać te brakowne krowy, cośmy mieli wypaść.

— Stracimy połowę ceny! Ledwie się zaczęły poprawiać... Może lepiej młode konie?

— Nie starczy! Zresztą, czym zastąpię braki w fomalce? Wiesz, że dwie pary zupełnie zdarte.

— Żeby choć do jesieni zwlec. Mam sto gęsi, cztery tuczniki, sad pięknie kwitnie!

— Jesienią w listopadzie przychodzą drugie raty, a kary za zwłokę pożrą zarobek.

— Może by zaliczyli na to wartość ziemi, co wzięli na osadnictwo?

— Protasewicz jeździł o to do ministerstwa... Siedział tydzień w Warszawie, po całych dniach deptał po urzędach — wydał czterysta złotych. Nareszcie otrzymał kwit na ośmset, ale gdy przyszedł z tym do kasy — usłyszał, że przyszedł rozkaz od ministerstwa, żeby wypłaty do czasu wstrzymać... Na te kosza pożyczyl na weksel.

— Ja myślę wciąż, na czym by jeszcze oszczędzić, ale wymyślić nie mogę.

— Dziecko kochane, i tak pracujesz za dziesięciu. Nie mamy w czym się ograniczać ani więcej na barki wziąć. Trzeba to było sprzedać!

Zamilkli, ramionami o siebie się wsparli i zmęczonymi głowami. Wokoło była cudna majowa noc — na wschodzie poczynało jaśnieć na zorzę.

— Niech tatuś spocznie! Nic to! Nie damy się i przetrzymamy...

Gorzej było po najściu bolszewików! Objęła go rękami za głowę i ucałowała.

— Ty już wcale nie sypiasz!

— Jak chłopci i ptaki. Odeśpię jesienią. Ale honorne Białozory i Nietroń zostanie nasz. I jeszcze innych będziemy ratować!

— Tych wszystkich, co nas krytykują i obmawiają...

— Nawrócą się...

I tak się rozeszli na krótki spoczynek.

III.

Był już czerwiec i największy przepych ziemi.

Kwitły żyta pogodnie, za lada powiewem niosąc tumany miodem wonnego pyłu, łąki, czerwone od firletek, gotowały się do sianokosu, bujnie krzewiły się kartofle, do rójki burzyły się pszczoły, po tajniach jeziora mrowił się kaczycy drobiazg, gaj gawroni w Nietroni wzmocnił swój wrzask tysiącami młodych gardzieli i ucichły słowiki.

Przednówek był w spichrzu i spiżarni, ale nawet martwić się nie było czasu — takie dni były znojne i długie, taki spoczynek krótki.

W ciężkim istnieniu takiego ubożego dworu na Polesiu, w tych latach borykania się wśród nowych porządków, praw i ciężarów, bez kapitału, w ruinie folwarków, w niedostatku inwentarza, w drożyznie robocizny, w osobistej pracy fizycznej nie było czasu, nie było oczu, nie było zdolności odczuć piękna ni czaru, który ich otaczał.

Dzieci, poza nauką, też pracowały. Michaś w warzywniku, Terka przy drobiu, który rósł i pożerał — nigdy syty i cichy.

Szofer zdrowiał i czytał. Przewertował książki Terki i Michasia, wnrzył się w Sienkiewicza. Że w stancji było mu duszno i gorąco — co rano „dwa Michały” wносиły go do cienistego, lipowego szpaleru i tam dzień spędzał, przyglądając się życiu ludzi i zwierząt.

Sporządził sobie misternie kulę — i co dzień napierał się wstać.

— Pan mi na złość robi. Po co mnie pan zatrzymał! Już by mnie dawno puścili ze szpitala. Albo dajcie co zrobić, albo się wścieknę.

Zaczepiał o tę robotę każdego, co przechodził. Wreszcie kiedyś Ida przyniosła mu kłębek nici konopnych, iglicę drewnianą i deseczkę.

— Niech pan robi żaki* na ryby.

— Jakże to się robi?

* Żaki na ryby — sieć na ryby rozpięta na kilku drewnianych obręczach.

— Przyślę panu Michasia. On nauczy.

Michaś wytłumaczył, zaczął i poszedł, bo nie miał czasu.

W ogóle nikt nie miał czasu — nawet Terka nie przychodziła paplać.

Siedział tedy chory ze swą nieruchomą nogą, trochę sieć wiązał, trochę czytał i obserwował, i różne nowe myśli rodziły mu się głowie. Za szpalerem dziad Kajetan wolno i cicho manipulował w pasiece. Bez żadnej ochrony snuł się wśród pszczoł, otwierał ule, zaglądał, coś zmieniał, dodawał ramki lub odejmował, czasami we dwóch z Semkiem przenosili z miejsca na miejsce ule, porozumiewając się szeptem lub ruchem. Czasem siedział na kamieniu i patrzył na to swoje państwo, a zawsze milczał i poruszał się powoli.

Daleko na grzędach warzyw pracowali Michaś i Ida. Motykowali lub pełli pilnie, miarowo, zręcznie i cicho. Pan Michaś w sadzie obierał robactwo i co najwyżej pogwizdywał czasami.

Zgiełk czyniły tylko dójki o południu, bo się spieszyły okrutnie i niekiedy ciszę tej pracy przerywał śmiech Terki lub gderanie starej Łuczychy na wnuczkę Hanne.

Milcząco wszystko szło i wolno. Fornale Poleszuki poruszali się jak woły, Białożor komenderował nie podnosząc głosu, a z Semkiem, który był fakototum* i popychadłem, nikt nie rozmawiał, bo chłopak tak się jąkał, że nikt go o nic nie pytał, bo nie było czasu doczekać się odpowiedzi.

Pozornie sprawiało to wrażenie, że tu się nic nie robi, że nikomu nie pilno i nikomu nie troskliwo i nie ciężko, i że ten cały warsztat rolny obraca się jakimś mechanizmem tajemniczym, bezgłośnym.

Nie czuć było i słyhać pracy, ale przecie było zrobione. Z regularnością maszyny, o świcie wstawał pan Michaś i Michaś, odmawiali pacierz, sprząтали po kolei posłania i stancję, prześcielali i pomagali choremu w toalecie, przynosili mu śniadanie, wynosili go z łóżkiem na powietrze, zasiadali do lekcji. Z regularnością maszyny swój deptak między kuchnią, piwnicą, oborą, chlewami, kurnikiem i ogrodem odbywała Ida. Białożor w ogóle był cały dzień w polu przy robocie i prawie cały dzień terkotała maszyna do szycia w pokoju ciotki Ludwika.

Dowiedział się od Terki, jedynej gadatliwej osoby z rodziny, że dziad Kajetan i ciotka Ludwika nie byli ni dziadem, ni ciotką, ale jakimiś dalekimi krewnymi, którzy, wyzuci z mienia przez bolszewików, przybyli przed kilku laty i zostali.

— Bo to, wie pan — mówiła z przejęciem — to wielkie szczęście takich ludzi mieć w domu. Tatuś się ogromnie ucieszył, jak przybyli.

— Bo co? Pomagają? — spytał.

— Takiego domu nic złego nie spotka.

— Kto to pannie Terce powiedział?

— Gabryk! Nasz brat, który na przyszły rok już będzie prawdziwym księdzem! Zobacz go pan, bo na wakacje przyjeżdża i ślicznie gra na skrzypcach.

— To może i Michaś księdzem będzie?

— Michaś za dziesięć lat tatusia zastąpi, bo tatuś już będzie za stary do roboty.

— A panna Terka — pannę Idę?

— O tak — może i prędzej, bo Idy napiera się Antek, nasz kuzyn, co ma też samochód i sam umie nim jeździć.

— Jak to? Napiera się?

— A no, chce się z nią ożenić — całe życie się napiera. Aj! — moje kaczęta już wołają jeść! — i poskoczyła do swego obowiązku.

Tak się powoli dowiadywał o sprawach tej dziwnej rodziny obszarniczej. Dziwił się, obserwował i nieznacznie sam się zmieniał.

* Fakototum (przest.) — zausznik, popychadło.

Stał się w mowie grzeczniejszy i nerwy jego zdrowiały w tej atmosferze spokoju, i czasami myślał, że przecież tym ludziom musi odsłużyć. Był syty, oprany, obsłużony, traktowany jak człowiek domowy — jak równy. I już ich przestał podejrzewać o wyrachowanie i interes.

Pewnego dnia komendant posterunku policji przyjechał na rowerze i, czekając na Białozora, zasiadł przy nim na papierosa i gawędę.

— No, i jakże pan się czuje w tym pańskim gnieździe? Nudno za miastem?

— Czasami tęskno za knajpą i ruchem. Ale to jacyś dobrzy ludzie!

— Ba! Strasznie honorni. Podatki zapłacone, wszelkie przepisy spełnione — nigdy skargi. Nawet z tym chłopstwem cierpią, bez sądu, żeby nie stawać z nimi na sprawie... A chłopstwo tutejsze to, panie, czarcie nasienie. U nas, w Wielkopolsce, bywają też złodzieje, ale tu to nie ma uczciwego — na pokaz!

— Pewnie nędza?

— A monopol kto utrzymuje? I co takiemu chłopu trzeba? Żarcia ma do syta, podatków mało płaci. Bydła, owiec, świń mnóstwo, opał ukradnie, grosza na nic nie wyda. Nędza to my: nauczyciele, urzędniki, osadniki — i pańskie dwory ledwie zipią.

— I tutejsi nie bogaci?

— Tutejsi? Trudno zgadnąć. Nigdzie nie bywają, nic prawie w miasteczku nie kupują. Rzetelni są. Na rozmowę ich nie wyciągniesz. Ten młodszy, niby doktor, za pieniądze nie leczy. Z województwa main papier, żeby przedstawił podanie, opłatę i fotografię — dostanie kartę łowiecką. Nie wie pan, czy ma strzelbę?

— Nie widziałem! — odparł krótko.

— Pełno jest broni niemeldowanej. Chłopy po tych wertepach biją, co popadnie i kiedy popadnie, i diabeł ich złapie.

— Myślę, że ci panowie na kłusownictwo by nie poszli.

— Ale broni nie złożyli. Jak dostanie pozwolenie na broń — musi kupić. Przepisy są bardzo ostre i kary wysokie. A pan ma rewolwer?

— Mam — i pozwolenie w porządku.

Wydobył pugilares i sprezentował wszystkie swe dokumenty, uśmiechając się szyderczo z pilności, z jaką policjant każdy papier przeglądał.

— Pan się za posadą obejrzy, jak wstanie? Z powiatowego miasta zaczynają kursować autobusy, może pan się wkręci.

— Jeszczem dotąd Żydom nie służył, ale pewnie i do tego dojdzie.

Doktor mi obiecuje za dwa tygodnie koniec tej niewoli.

— Ale poprawił się pan na twarzy i w sobie. A jakby pan stąd odjeżdżał, proszę się zgłosić na posterunek. Dam zaświadczenie.

I łaskawie go pożegnał.

— Cholera! — zawarczał za nim szofer. — Za konfidenta mnie uważa. Każe broni wypatrywać u tych ludzi. Rewolucję ci zrobią, czy napadną na posterunek! A co wieczór na błotach kanonada chłopska do kaczek, to tej broni nie szukasz, nie odbierasz!

— Panie doktorze! — począł wołać w głąb sadu. Pan Michał podszedł z piłką w rękę.

— Dolega co? Może pić dać?

— Dziękuję. Policaj tu był i gadał, że pan dostanie pozwolenie na strzelbę.

— Ho, ho! I pan w to wierzy! Trzeba się fotografować, to jest jechać do miasta i z powrotem, koszt dziesięć złotych, potem strzelbę kupić — złotych paręset, bo musi być ze świadectwem, potem opłaty karty łowieckiej na terenie mego brata, któremu to pozwolenie opodatkują do dochodów. A najważniejsze, ponieważ dotąd nie mam obywatelstwa — cały ten kram będzie na nic i skończy się konfiskatą strzelby. Całe szczęście, że nie mam na to pieniędzy, więc wcale nie skorzystam z łaski wojewódzkiej.

— Jakby pan miał, byle jaki gruchot, to ja panu strzelbę narządę fajn*!

— Wie pan, może byśmy raczej sfabrykowali na spółkę kuszę — taką, jakiej używał Zbyszko z Bogdańca. Myśmy już o tym z Micha — siem myśleli. Pan myśli, że żartuję? Nie! Mniejsza o bicie zwierzyny — i bez nas chłopci i urzędy biją bez miłosierdzia, ale na wypadek wściekłego psa byłaby obrona. Wtedy nie pora dawać znać na posterunek!

— Kusza? A ma pan rysunek?

— Mam, i opis w starej łowieckiej kronice. U nas książki ocalały, bo brat je przed najściem Niemców zakopał.

— Niech mi pan da tę książkę.

Zaczęli się śmiać obydwaj. Zbliżył się dziad Kajetan — przyniósł choremu plaster miodu na talerzu i kromkę świeżego chleba; posłuchał, głową pokręcił.

— Jednakże moja rada: róbcie to w izbie i po kryjomu! Kto wie? — może nie wolno? Będzie protokół — kara! Ostrożnie! Ma pan tu pierwszy miód, akacjowy — balsam na płuca!

— Wuj tyle razy był *pod stienką* w bolszewii, że już się lęku nigdy nie pozbędzie. Tutaj, wuju, nie rozstrzeliwują tak hurtem.

— Ja wiem, ja wiem, ale wciąż słyszę, że czegoś nie wolno, albo coś nakazane. Czy to można spamiętać i ustrzec się. Stał mi w pamięci ten Moskał, co po powrocie z Paryża opowiadał sąsiadom: *U nich republika — eto znaczyt niczewo nie lzia**.

I poszedł stary do swych pszczół, coś mrużąc.

— Już ten się nie przystosuje do nowego, powojennego świata i dobrze, że ma z pszczołami do czynienia, które godzą się ze swą dolą, że trzeba tylko pracować — rzekł pan Michał.

— Mnie się widzi, że tutaj wszyscy z tym się godzą! — odparł szofer.

— A no, z domu tutaj do pszczół nie daleko.

— A kiedy mi pan da tę łowiecką kronikę?

— Choćby zaraz. Michaś już nawet różnego drewna nasuszył, narzędzia różne ma, ale to wszystko schował do wakacji, żeby nie miał roztargnienia. Za dwa tygodnie pojedą dzieci na egzamin. A potem niech się bawią przez lato.

— A potem pójda do gimnazjum, biedaki?

— Nie, dopiero do czwartej klasy.

— A dlaczego?

— Pańskie fanaberie! — uśmiechnął się pan Michał. — Pan sam gimnazjalne czasy niemile wspomina. Im później tam pójda — tym mniej się zarazą, biedaki — jak panu się wyrwało! Zresztą brata jeszcze nie stać, by troje kształcić.

— Tyle majątku! — pokręcił głową. — I taki zachód, kram, deptak — jak na to patrzeć! I po co, jeśli nawet bogactwa nie da!

— Też rodzaj pańskiej fanaberii. Rozparł się taki pan szeroko i powiada: moja wola i dola! Nie lubi gnieździeć się jak te gawrony — na kupie. Miejskim ludziom trudno to zrozumieć. Różne ptaki różnie żyją. Tak i ludzie... Michaś! — huknął w głąb sadu — bywaj!

I ponieśli chorego do izby.

Aż przyszedł dzień, że stanął na nogi.

Zrazu osłabiony i niepewny kusztykał o kuli i spożył przy stole rodzinnym pierwszy posiłek. Przyjęli go z życziwą radością — nawet chmurna Ida spojrzała nań przyjacielsko, a Terka położyła mu przy talerzu wianeczek z czerwonej i białej koniczyny.

Dziad Kajetan i ciotka znali Bobrujsk, wynaleźli nawet wspólnego znajomego rejenta, Białozor rozpytywał o przeżycia wojenne, gawędzili swobodnie.

* Fajn (niem.) — w dobrym gatunku, pierwszorzędny.

* *U nich republika — eto znaczyt niczewo nie lzia* (ros.) — U nich jest republika, to znaczy niczego nie wolno.

Potem z dnia na dzień nabierał siły i wprawy w chodzeniu, spacerował po gumnie, a szczególnie odwiedzał starą stodołę, która, że stała na uboczu, ocalała z pożaru wraz z czworakiem, gdzie gnieździli się z dwoma parobkami.

Stodoła ta olbrzymia, czerotem kryta, z pięciu bocianimi gniazdami, pusta o tej porze — zawalona była po kątach starym rupieciami narzędzi, resztek maszyn, żelastwa, drewna, drutu, blach itp. cementarzyskiem rolniczym.

Sawicki chodził tam, oglądał, domyślał się, grzebał i kombinował z całą pasją amatora — mechanika. Dzielił się swymi odkryciami z Białożorem, bo pan Michał z dziećmi wyjechał do miasta.

— Znalazłem stary maneż i coś podobnego do młockarni.

— Może być, że się walają resztki, ale ja już przed wojną kupiłem lokomobilę i młóciłem parą.

— A teraz?

— Mam ręczną. Tamtą zabrano, bo była z firmy niemieckiej, a dowody kupna przepadły w pożarze.

— Ja bym panu tę starą wyrychtował, kierat też. Tam niewiele co trzeba dokupić.

— Dziękuję panu, ale tymczasem na ten mały obsiew jeszcze się parę lat obejdę. I znowu po paru dniach oznajmił przy obiedzie:

— W kącie pod plewą wykopałem parnik. Kocioł tylko kranów nie ma, a sam cały. Jedna kadź rozbita, druga jeszcze ujdzie. Miałyby panna Ida wygodę zimą dla trzody. Mogę wyrychtować.

— Dziękuję panu! Pomyślę.

Zrozumiał tedy, że nie chcą jego roboty przez subtelność delikatność.

Maneż — tutaj: kierat, urządzenie służące do napędu maszyn rolniczych siłą zwierząt pociągowych.

— Psia mać! Pany! Łaskę dają! nie waż się odsługiwać, chamie! Przestał chodzić do stodoły, zaczął rozmyślać o odejściu i burzył się. Idylla skończyła się niefortunnie.

Pewnej nocy stara Łuczycha postyszała skrzyp drzwi od korytarza. Musiała mieć jakieś podejrzenie, bo nie odezwała się, ale wstała cichaczem i czatowała. Usłyszała skradające się stapania w kierunku ławki, gdzie spała jej Hanna — potem senny głos dziewczyny:

— A czego? Oj! Bożeż mój!

Wtedy baba porwała duży sagan, w którym były ugotowane baranie nóżki na ranny posiłek dla psów — i ten nie bardzo wonny, kleisty rosół chlusnęła w dobrze wycelowanym kierunku. Zakotłowało, rozległo się grube przekleństwo i nastąpił pospieszny odwrót gościa.

— Won, sobacze mięso! — pożegnała go baba.

Napastnik potknął się o cerber z wodą — wyrzucił go, zawadził o pogrzebacz — narobił hałasu — i wreszcie wypadł za drzwi.

Rano jednak, po rozmowie Idy z Łuczychą, nikt o wypadku nie wspomniał, ale Sawicki na śniadanie się nie pokazał, bo skoro świt ruszył piechotą do Zahosta.

Nie wrócił też na noc i dopiero nazajutrz zjawił się na łąkach, gdzie Białożor pilnował koszenia siana.

— Przyszedłem się pożegnać i podziękować. Dostałem posadę! — rzekł, patrząc z podełba.

— Ale to niedobrze, że pan nadwyręża nogę chodzeniem zbytym. A posada dobra?

— Prywatna, tymczasowa. Wróciłem z furą po rzeczy. Dziękuję panu i panu doktorowi.

Białożor wyciągnął do niego rękę, ale tamten ledwie jej dotknął.

— Chciałem odstąpić, pan odmówił. Nie moja wina, że rachunek nieuregulowany.

— W dobrej pamięci proszę nas zachować, jako i my pana. To starczy.

Zaśmiał się Sawicki, ramionami ruszył i odszedł. Oddech miał cuchnący wódką.

— Biedaczysko! — pomyślał Białożor, patrząc za nim.

I została po szoferze — rozbitku w stacyjce, gdzie parę miesięcy spędził — nad posłaniem Michasia na ścianie — kusza, odrobiona z całą precyzją i mistrzostwem pierwotnej mechaniki.

IV.

Sawicki, gdy dojechał do miasteczka, był tak wyczerpany, że przede wszystkim wstąpił do przydrożnej „traktierni” i zażądał wódki i jadła.

Właściciel, zeuropeizowany Żyd, podał butelkę, postawił kielbasę, biały chleb i zaczął badania.

Miasteczko było — jak setki na kresach.

Rynek — na środku kwadrat kramów, jaskrawa cerkiew, zaniedbany kościół, w okrag domy żydowskie i rozchodzące się w cztery strony świata uliczki mieszczańskie, kończące się błotnistymi lub piaszczystymi drogami w dalekość pustego kraju. Ozdobę stanowiło bezkresne jezioro i stare lipy otulające kościółek i plebanię.

Bokiem rynku szedł gościniec, poznaczony świeżymi kilometrowymi znakami i drogowskazami. Szlak ten, kręty w celu objazdu bagien, tworzyły piaski jałowe, marne lasy, zniszczone przez okupantów i długie groble na mniej przepaścistych błotach, wśród których sączyły się leniwe mnogie dopływy Prypeci, Styru, Stochodu, tworząc siatkę wód, w której tylko miejscowy człowiek mógł się połapać.

Przed wojną był tu handel drewnem i zbożem, skórami, bydłem i rybą — szły tratwy z drewnem — ciężkie krypy. Po wojnie miasteczko zamarło, skurczyło się, wegetowało. Żydzi wyemigrowali w części do Ameryki i Palestyny, chłopi odbudowywali się, rozhodowywali bydło, dwory malały, borykały się z ciężarami nad siły lub trwały w beznadziejnej ruinie i w oczekiwaniu zupełnej zagłady i był nad tym krajem zmierzch dawnych idei, i posepność jesieni, po której już nie oczekiwano ni wierzone w wiosnę.

Na rynku było pusto, w kramikach drzemali sprzedający. Po placu snuli się sennie ludzie, którym jako typowym Poleszukom nie było spieszno. Godło państwowe jaśniało na gminie, na posterunku, na szkole powszechnej, na poczcie, ale mowa mieszkańców i interesantów była rosyjska, rusińska lub żargon.

— Pan szanowny z daleka? — badał traktjernik*.

Szofer pił dużo, jadł mniej i milczał.

Alkohol, którego był pozbawiony od paru miesięcy, krzepił go, podniecał, rozpałał.

— Może pan do gminy? Do policji? Może do kierownika szkoły?

— Do kierowniczk, jeśli ładna i do diabła — jeśli bogata! Daj pan papierosów i cukierków.

Zapłacił i wyszedł, kierując się do posterunku. Ale wtem ujrzał przy drodze kuźnię, a przed nią samochód, wkoło którego zebrała się kupka gapiów. Przystanął i Sawicki z papierosem w zębach i z miną najwyższej pogardy i szyderstwa. Elegancko ubrany pan i kowal — Żyd — stali nad maszyną. Majster głową trząsał.

— Ja do tego nie doktor. Tu potrzebny do tego mechanik.

* Traktjernik (przest.) — karczmarz, właściciel jadłodajni.

— A kat go tu znajdzie!

— Kata tymczasem jeszcze nie trzeba, ale pieniędzy. Czy pan myśli, że każdy szofer szubienicznik.

— A panu co to dolega!

— Otóż i nożyczki. Co mam słuchać urągania!?

— To pan szofer?

— Takim gruchotem jeszcze dotąd nie jeździł.

— Wygrałem w karty.

— Chyba w guziki. I chce się pan zabić?

— Nie. Dojechać do domu.

— A to daleko?

— Trzydzieści kilometrów.

Szofer rozepchnął gapiów — obejrzał maszynę, narzędzia, pomyślał, uderzył ręką po samochodzie.

— Strzymaj! Za pół godziny startuję! I wziął się do roboty.

Przyglądał mu się pilnie właściciel, pomagał, podawał narzędzia.

— Zdałby się pan na pomocnika. W każdym razie kiepski frajer pana nie okpi.

— Ba! za te pieniądze, com na to wydał — to ja powinienem każdego okpić.

— Pan pewno pośrednik jakiejś marki.

— Przeciwnie! Klient różnych marek!

— O! Zwierzyna w tej kniei. Możemy ruszać, a może pan chce się przedtem wypowiedzieć?

— To może raczej zapłacić panu z góry, na wypadek śmierci. Ile? Sięgnął do kieszeni, w której miał banknoty, srebro i nikiel zmieszane bezładnie.

— I ja ryzykuję życie! Równe szansę. Zapłaci mi pan, jak wygram. A „nakoty*” na tej drodze są?

— Niewiele — może paręset metrów, pod samym dworem. Możemy pieszo dojść i przysię wół po maszynę.

— To pan tutejszy obszarnik?

— A pan co myślał? Przecie nie starościńska, ani wojewódzka to maszyna. Obszarnika fantazja i kieszeń.

— No, to jazda. Niech pan drogę wskazuje.

Ruszyli — minęli miasteczko. Szofer nasłuchiwał pracy maszyny, kierował wedle wskazówek.

— Chore ma płuca, serce, wątrobę i kiszki. Do luftu — rzekł po chwili.

— Mam już dwie podobne w domu. Żeby jako podleczyć i stopić w jedną lepszą.

— Hm — może się trafić i głupi agent albo spryciarz, co pana na hak weźmie, jak rybę. Co to za osada? Cyganie.

— To folwark mego wuja Białożora, zabrany na osadnictwo.

— Kokosów tu nie mają żołnierzyki.

— Od tego krzyża na prawo — na groble. Zaraz będzie wieś Kałuchy — Styr i prom, potem przez te piaski do Prochodu, potem na lewo przez Łuczycką wieś i jesteśmy w domu.

— A ów „nakot”?

— Między wsią i dworem, na błocie.

— I panu się chce w tych piachach i topielach mieć samochód? Samolot byłby lepszy.

— Będę miał i awionetkę, z czasem.

Niefrasobliwość i dobry humor tryskały mu z twarzy młodej i przystojnej.

— Pan sam w domu?

* Nakoty (ukr.) — okrągłe sztuki drewna kładzione w poprzek bagnistej drogi.

— Oho — czworo dzieci i piąte w drodze — szwagier i siostra. Jakże, panie, jeśli żywi dojedziemy, zostanie pan u mnie i wyrzuci te graty. Miałem szofera, co mnie uczył, ale odmówili mi go do Rydwan. Zresztą pił jak gąbka. Płaciłem sto pięćdziesiąt miesięcznie. Ostrożnie! Do domu zjazd ostry!

Przeprawa zajęła sporo czasu, bo prom był na drugiej stronie, a przewoźnik kosił siano.

Po długim wołaniu — Dmytro, Dmytro! — zjawiła się baba w zastępstwie i chłopak wyrostek, którzy z ciężkim mozołem przy — pchali na pół zgniły pomost do brzegu.

We czworo wepchnięto samochód i pół płynąc, pół brodząc, wydostano się na ląd.

— Pan nie bardzo klnie i wyrzeka — zaśmiał się obywatel.

— Było się w gorszych opałach na wojnie.

— To może ma pan tutaj w tym kraju osadę żołnierską?

— Nie napierałem się. Po co mi ten kram. Sam jestem z miasta rodem i włączę mi w zwyczaj weszła. No, a teraz tu wcale drogi nie ma.

— Tu trochę brodem, wodą — ale to ledwie koła zajmie — ot tak, jak szczelina w łożach. Tu nie grząsko — bezpiecznie!

Szofer tylko głową pokręcił i całą uwagę zwrócił na tę „drogę”. Poczciwy, astmatyczny Ford wytrzymał i ten eksperyment.

Potem wjechali znowu na szlak piaszczysty i między wiejskie opłotki. Wieś wyglądała zupełnie pusto.

— Ludzie na błotach przy sianie.

— To oni chyba i sami to żrą zimą — boć tu nic nie rośnie.

— Mają bardzo żyzne „ostrowy” wśród błot. Ale za to mają w domu sucho i żaden wylew wsi nie zajmie. A ot i dwór — moja Łucza. Trzeba przebrnąć tę trochę bagna, głupstwo.

Ale to głupstwo było właśnie „nakotem”, grobelką wyslaną w poprzek całymi, okrągłymi pniami sośniny. Szofer zahamował samochód.

— Nie kuśmy losu! — rzekł. — Pan przyśle woły, a ja maszyny dopilnuję. I tak dokazaliśmy sztuki! Zobacz pan, jak jutro maszynę rozbiore! — Przeciągnął się, zapalił papierosa i rozglądał się po kraju.

Dwór, do którego poszedł właściciel, skacząc zręcznie po kłodach, leżał na drugiej piaszczystej górze, ubogo otulony sosnami — duży — obszerny, zabudowany szarymi drewnianymi budynkami. Opierał się z trzech stron o bezkresne łąki najeżone już gotowymi stogami — na widnokręgu był las, do którego nie było śladu dojazdu.

— Różne i cudaczne są gusta ludzkie! — zamruczał Sawicki. — Ciekawość, jak tutejsi hulają, bawią się i co nazywają rozrywką.

Zdziwienie wyrażały też latarnie samochodu, jak oczy wytrzeszczone na — tę dziką pustkę.

Tymczasem od wsi zbliżyło się kilkoro dzieci i gapiło się na maszynę, coraz się ośmielając.

Szofer sięgnął do kieszeni i pokazał im garść cukierków. Zrazu cofnęli się nieufnie, potem podeszli i jeden najśmielszy przynęte wziął.

— No, a gadać umiecie po ludzku?

Zaczęli się naradzać i wyszturchali naprzód jednego.

— Dzień dobry! — rzekł poprawnie. — Co panu potrzeba?

— Przynieście mi wody.

— A to jest w rowie — wskazał.

— To wy taką pijecie?

— A cóż. Dobra, jak pić się chce.

— Skądże ty umiesz po polsku?

— Do szkoły chodzę.

— A tamci?

- Pastuchy.
- Jak się nazywa pan z tego dworu?
- Łuczański pan.
- A nauczyciel jak się nazywa? Ruszył ramionami.
- Łuczański nauczyciel.
- A wy także wszyscy Łuczańscy.
- Ja Woszczanko Paramon, syn Klima Zajca.
- A wódka u was, we wsi, jest?
- Czemu! Można dostać! — uśmiechnął się.
- To mi przynieś butelkę.

Chłopiec wyciągnął rękę po pieniądze i cała banda zawróciła ku wsi kłusem.

Jednocześnie od dworu weszły powoli na groblę cztery bure woły, prowadzone przez dwóch ludzi, w podobnych barwą, burych siermięgach. Za nimi szedł właściciel.

Woły flegmatycznie, nie przestając żuć, popatrzyły na samochód — dały się wprzęgnąć i ruszyły, stąpając ostrożnie po kłodach. Parobcy również milcząc powoli pykali fajki i szli bosi — jak po równym pomoście.

Sawicki obejrzał się, czy urwisy ze wsi nie wracają, potem ręką machnął i poszedł, podpierając się wyłamanym kijem. Noga dokuczała mu silnie. Gdy dobrnął do dworskiego obejścia, samochód stał już w dużym garażu przy kuźni, otoczony całym gronem ludzi. Było dwoje dzieci, niewiasta w negliżu, krępy jegomość z sumiastym wąsem, kowal w skórzanym fartuchu i „pan”.

Wszyscy oglądali nowy nabytek, któremu przyglądały się swymi latarniami dwa inne podobne graty, ciesząc się zapewne, że ten nowy kolega podzieli ich udrękę i wyręczy.

- Ach, Antosiu, Antosiu! — po co ci trzeci samochód? — biadała niewiasta.
- Ach, Julciu, Julciu! po co ci piąte dziecko! — naśladował jej powolny głos.
- Także głupie porównanie! Chodźcie dzieci! — i ruszyła ku domowi.
- Chodźmy i my. Może nam dadzą co zjeść. Ale pan na nogę upada! Wykręciła się na nakocie?
- Nie, złamana była. Leżałem sześć tygodni i od niedawna uczę się chodzić.
- To może pan leżał w Nietroni? Słyszałem od wicewojewody o wypadku. To pan poznał bastion i sanktuarium cnoty!
- Pan Michał Białożor mnie wyleczył i miałem gościnę pańską!
- A że pan nie oszalał z nudy! Tam każde drzewo szumi: cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi! A dzieci przepisują po sto razy na dzień:

*Idź, synu drogą prawdy,
Prawda cię wzbogaci,
Da ci dziurawe buty,
Parę starych gaci.*

Ale Sawicki, który odszedł zbuntowany z Nietroni, poczerwieniał i ujął się:

— Może mają tylko dziurawe buty, ale mnie ani obdarli, ani wyzyskali. Jestem sam pracujący, więc nie będę pracy urągał. Koleżeństwo!

Wesoła twarz gospodarza na sekundę się zmieniła i umilkł, ale wnet począł gwizdać.

Weszli do domu, który stał krzepko i od dawna widocznie, ale miał ślady zaniedbania i opuszczenia.

— Dwór panu ocalał! — zauważył Sawicki.

— Daleko od gościńca, więc Moskale nie zdążyli spalić, bom przezornie nakot popsuł, a Niemcy nie mieli co grabić. Zresztą siedział tu major — myśliwy — polowaliśmy razem! Kawalerskie było gospodarstwo.

— To pan się dopiero potem ożenił?
— Ja? Boże broń! Gdzieżby tu się więcej dzieci i kobiet zmieściło! Zamieszkała u mnie siostra z mężem. Ich majątki zostały za kordonem*.

Wprowadził go do jadalni, w której jeszcze po obiedzie stół nie był sprzątnięty.

Zajrzał gospodarz do bufetu, znalazł jakieś resztki pieczeni, ser, masło, butelkę nalewki.

— Grypa! — krzyknął, otwierając dalsze drzwi.

Ukazała się dziewczka z zakasnymi rękawami i rękami prosto z dzieży.

— Zrób nam jajecznicę, ino zaraz.

— Nie ma jajków! — odparła, cofając się.

— To daj twarogu ze śmietaną.

— Dziś masło bili. Przyniosę maślanki.

Wypili nalewki i zabrali się do resztek pieczeni. Po chwili dziewczka wróciła.

— Pani gdzieś zgubiła klucze od piwnicy. Nie można dostać maślanki! — oznajmiła i poszła z powrotem do dzieży.

— Nie ma co, panie! Chodźmy do ekonomowej po ratunek. To moja piastunka! Ulituje się nad nami!

— Dziękuję panu. Nie głodnym. Pójdę obejrzeć tamte maszyny i tę, co nas dowiozła, rozbiore.

— To ja się trochę przedrzemię, bom dwie noce nie spał. Stary Bućko jest na gumnie, niech go pan używa, jeśli będzie trzeba pomocy.

O zmierzchu Sawicki przestał pracować i usiadłszy na schodach ganku, przypatrywał się życiu tego dworu. W przeciwieństwie do Nietroni — tu panował zgiełk, jakby wszyscy dopiero co przybyli i błądzili wśród nowych obowiązków. Przy tym krzyki i nawoływania nie ustawały i przechodziły w kłótnie i łajania. Krzyczał ekonom Kulesza na pastuchów, kłócili się fornale z gumienym* Bućkiem, wrzeszczały baby kuchenne, ujadając się z Grypą. Kwestie były o obroki, o zagubioną krowę, o drwa, o wodę, o wiadro, o szkopki*, o kartofle. Ukazywała się czasem niewiasta — pani, gderząc i narzekając, i biły się ze sobą lub pędziły na wyścigi z psami dzieci, puszczone samopas.

Nareszcie wyszedł z domu, ziewając, sam gospodarz, ale nie zareagował na rozgardiasz, tylko usiadł obok szofera i zapalił papierosa.

— No, i jakże te kaleki? Obejrzał pan?

— Obejrzałem. Na miesiąc roboty i tysiąc złotych na zmianę różnych części.

— Godzi się pan na ten miesiąc, za sto pięćdziesiąt i utrzymanie?

— Dobrze. Tylko jutro muszę z Nietroni rzeczy zabrać i pożegnać się.

— Zrobione! Mam kupca na tę „Tatrę”, jak mi ją pan zrychtuje! Dam panu jutro furę, na prostki do Nietroni dużo bliżej, tylko trochę głębszymi brodami, i od pojutrze zaczynamy. Za czeladnika staję na pana rozkazy.

I w ten sposób Sawicki został na Polesiu.

Gdy znalazł się wieczorem po hałaśliwej i beładnej wieczerzy w pokoju gościnnym na facjatce, pomyślał:

— Tam klasztor — a tu gawroni gaj!

Gospodarz, odprowadzając go, rzekł:

— Ale pan jeszcze nawet nie wie, z kim się umówił. Jestem Antoni Jelec.

— A pan też nie spytał, kogo umówił. Jestem Stefan Sawicki. Oto są moje dokumenty.

— Po co mi je wertować! Widziałem pana przy kierownicy. Dobranoc.

Machnął ręką i odszedł gwizdząc.

* Za kordonem — za granicą.

* Gumieny — zarządzający folwarcznym podwórzem.

* Szkopki — in. skopki — wiaderka na mleko wykonane z drewnianych klepek ściągniętych obręczami.

V.

Wrócił pan Michał i dzieci — trochę przybladłe, wystraszone, ale wszyscy zadowoleni.

Michał dostał od ojca srebrny zegarek po dziadku, wydzwanający godziny. Terka — broszkę koralową po matce i byli wolni na całe wakacje.

Dowiedziawszy się o odjeździe swego pacjenta, pan Michał rzekł spokojnie:

— On jeszcze wróci.

A Michał porwał kuszę i powtarzał:

— Jaki on dobry! Jaki mądry!

Dzieci przespały się, odpoczęły i na trzeci dzień rano pan Michał rzekł:

— Żegnamy was na cały tydzień!

Pójdą hulać dwa Michały

Jeden duży, drugi mały!...

Michał spojrzął na ojca:

— Może potrzebny jestem w żniwa.

— Zrobiłeś swoje uczciwie i porządnie. Należy ci się ten tydzień hulanki.

A Ida dodała:

— Narządzone macie garnitury. Przywieźcie mi od Ohryzki żywicy i suszonych jagód.

— Może wam rój się trafi, to zbierzcie. Dam wam kobiałkę! — przypomniał dziad Kajetan.

— A uważajcie na żmije! — upominała ciotka.

Raniutko ruszyli ubrani po chłopsku w płótno szare i łożowe chodaki.

Za pasem mieli małe siekiery, przez ramię torby myśliwskie, ale za całą broń Michał miał swą kuszę, a pan Michał dźwigał na ramieniu dwa wiosła. Przeszli kawał łąki, zniknęli w łożowych chaszczach i doszli do zatoczki jeziora pod brzozę, ustrojoną na szczycie w kołpak jemioły. Weszli do wody i po chwili brodzenia i szukania wydobyli wić tęgą łożową, którą zaczęli obydwaj ciągnąć ku brzegowi.

Po chwili ciężkiego wysiłku ukazało się czółno, z którego co rychlej zaczęli wyczerpywać wodę i wywlekać je dalej na brzeg. Gdy było względnie opróżnione, znaleźli na dnie otwór, który zatkali kołkiem. Tedy zepchnęli je znowu na wodę, obejrzel, czy nie przecieka, wystali spód gałęzmi i rohożą, złożyli pośrodku swe torby, Michał stanął w przodzie, pan Michał przykucnął z wiosłem w końcu, i wypłynęli na jezioro. Słońce właśnie wschodziło w wielkiej ciszy wód osłoniętych zielenią krzewów.

— Kiedy ranne wstają zorze — zaczął pan Michał.

— Tobie ziemia, Tobie morze — stowarzyszył się chłopak.

Pędzili łódkę jednym wiosłem — obyczajem miejscowym.

Michał nie dbał o kierunek, sterował pan Michał drobnymi ruchami, trzymając się wciąż prawego brzegu, mijając zatoczki. Odśpiewawszy wschód słońca, milczeli zajęci życiem wód.

— Piąty rok, jak ze stryjem tak zaczynamy wakacje. Taki wtedy byłem głupi i mały i trochę się bałem wielkiej wody — ozwał się Michał.

— Zaraz będzie kres wakacji. Może jeszcze rok, dwa — i zacznie się życie! A ono jest pan, co nie daje ni urlopu, ni wakacji.

— To nic! Ale człowiek tutaj jest swoim panem, nie maszyną, ani niewolnikiem. Mnie nie straszno. Byle nie w mieście i nie w urzędzie.

— Hej, hej! Co się to roi! Swoim panem być: to znaczy nad sobą panować. Dokaż tego, chłopcze! Będziesz cudotwórcą!

Michaś się zamyślił, a pan Michał dodał:

— Ładnym panem jest Jelec i Protasewicz, i Szczuki, i Nietyksza, a przecie mają wodę i ziemię, a tkwią w ciężkiej niewoli i w nędzy.

— A u nas jest też bieda, a nie ma niewoli. Bo wstydu nie mają ani honoru tamci.

Powoli wodę garnąc, pan Michał zapatrzył się w chłopaka. Przed siedmiu laty, gdy przyszedł do gniazda rodzinnego po długiej niewoli i dwuletniej męczeńskiej włóczędze od Bajkału na swe Polesie, przywarł sercem do tego dzieciaka, do tej latorośli swego rodu, i pielęgnował, i krzesał, i od chwastów bronił, i w słońcu utrzymywał, jak pęd młody — na mocne drzewo. Nie mentorem był, ale sam się giął do tej młodości i był mu przyjacielem, kolegą, towarzyszem.

I zżyli się ze sobą te dwa Michały — jeden duży, drugi mały! A teraz chłopak śmignął w górę jak topola — z dziecka lada chwila będzie młodzieńcem. Przychodził okres najgorszy, najniebezpieczniejszy. Czy wytrwają w przyjacielstwie, czy nie straci tej duszy! Dotąd mu Michaś nigdy nie skłamał, i nic przed nim nie ukrył. A chował się w niedostatku, w pracy, patrząc na trud i walkę o byt i trwanie, ale zarazem w atmosferze zgody, jedności i duchowego spokoju.

I wpoił mu pan Michał kult dla ojca. Białozor, zajęty i pochłonięty pracą i myślami, może nawet nie zdawał sobie sprawy, jakim autorytetem był dla syna, który się na nim wzorował — jak go obserwował i naśladował.

— Stryjku — nagle z cicha rzekł Michał — tam się roi od kłapaków* w czerotach! Możebym spróbował kuszy?

— A ile masz strzał?

— Dziesięć.

— To zaszczędź do Medweży, gdzie je będziesz mógł odnaleźć, a tu ci w wodzie i gąszczu przepadną.

— Co też Ohryzko powie na tę broń!

— Zmajstruje sobie podobną.

— On woli sidła.

— Chłopski, złodziejski proceder.

— A w „Myślistwie ptaszem” Cygańskiego tyle tych sideł podają.

— Od początku świata sidła są na wszystko i na wszystkich słabych, głupich i łakomych. Sidła i sieci, i wabię, i lusterka, i cienie*. I na przednie i górne ptaki* to nie służy. Za wysoko lecą, za bystro widzą. Rozumiesz?

— Rozumiem! — Chłopak podniósł wzrok na błękit nieba.

— Uważnie tu wiosłuj — jesteśmy w ujściu Stochodu i na dnie pale są po młynie, i wielka głębina.

— Pamiętam.

Czas jakiś milczeli, zajęci trudnym przejściem z jeziora do rzeki.

— Już! — rzekł Michaś. — Teraz woda sama niesie, a ja do torby zajrzę, bo z ochoty nie tknąłem śniadania.

— Nawet spoczniesz na brzegu, bo gorąco. Zjemy i poprobujesz kuszy.

Skręcili między łoży — w szczelinę, i wparli czółno na ląd. Z torby dobyli chleb i ser, jako że to był piątek, i wyciągnęci na murawie, pojadali. Murawa była zdeptana.

— Jakby skrzaty wodne tu hulały nocą. A wiesz, kto tu turnieje wyprawiał na „udeptanej ziemi”?

* Kłapak — nielotna młoda dzika kaczka.

* Lusterka i cienie — barwne plamy na lotkach niektórych ptaków, np. dzikich kaczek.

* Przednie i górne ptaki (pot.?) — największe ptaki drapieżne.

— Wiem. Bataliony. Przecie przypatrywaliśmy się takim turniejom na naszych łąkach.
— I to już nasza. To Niewier. Poza tą wysepką wokoło topiel.
— Jeśli kiedy nasz kraj osuszą — będą łąki.
— Więcej będzie siana niż bydła i koni. Konie zresztą staną się zbędne przy samochodach i samolotach. Ale za to rozhodują się gawrony — co gaj — to będzie „seło”^{*}. Z siana zrobią papier, łokciówkę, ale chyba nafty i benzyny nie wycisną! A może?
Wstał, dobył z torby niewielką sieć, którą zgrabnie założył na końcu czółna.
— Może co wpadnie. Okonie ciągną do jeziora. A teraz próbuj, łuczniku, swego kunsztu... Widzisz tam wiecheć siana na brzoźce, jakiś znak sianożęci, czy chłopski zabobon. Celuj!
Michaś naciągnął kuszę, aż szcerwieniał — mierzył długo — puścił strzałę — i chybił. Spróbował pan Michał i też chybił.
Śmiejąc się, zapalali się do tej gry, nawzajem sobie doradzając i zawzięcie ćwicząc.
Popadali wreszcie, potem złani, na trawę.
— Dosyć na pierwszy raz. Wzięliśmy od razu cel za trudny. Trzeba zacząć od ściany w Medweży. Mamy tydzień czasu. Ruszajmy!
Płynęli teraz z prądem — nieznacznym, jak na wszystkich rzekach poleskich. Pan Michał nazywał mijane uroczyska.
— Stryj lepiej ode mnie zna!
— W twoich latach też się uczyłem od Ohryzki ojca. Ten nasz kraj kocham jak duszę. Postanowiliśmy z twoim ojcem nie dzielić Nietroni — on, starszy, został — ja poszedłem na medycynę. Myślałem osiąść w Zahościu, zarabiać na życie i w przyrodzie mieć swą rozkosz i szczęście. Ano — inaczej droga poszła. Zarobek chybił, ale rozkosz i szczęście zostało — i jestem tu znowu.
— Stryj chce biedować z nami?
— Chcę, dobrze mi z wami! Popchnij dobrze, bo skręcamy w tę prość^{*} — już do Medweży... W sieci się coś rusza i trzepie. Będą okonie na kolację.
I począł wesoło gwizdać.
Niespodziewanie znaleźli się u celu, wśród olchowego lasu, podszytego masą kwitnących irysów.
Czółno oparło się o zwałony w wodę pień — początek kładki do stałego lądu. Gdzieś niedaleko rozległo się szczekanie psa i pianie koguta.
Michaś dobył z zanadru trąbkę i zagrał na niej. Przytwierdzili czółno do kołka i wydobyli sieć. Była pełna okoni i rzucił się zuchwale spory szczupak.
— Jak się macie, panoczki! — pozdrowił ich wesoły głos.
— W gościnę do was, Ohryzko! Witajcie!
— Ja wyglądam już od Piotra. O i z gościńcem panoczki! Dajcie siatkę — poniosę. Okonie, jak kabany^{*} — to pewnie koło Uderu! A Michaś o głowę wyrósł od zimy! A to, co?
— Cicha strzelba.
— Co też ludzie nie wymyślą? A bije?
— Jak trafić, to bije!
Poszli gęsiego po kładkach, potem ścieżką wydeptaną w gąszczu — i oto stanęła przed nimi w całej okazałości strażnica leśna, siedziba leśniczego i władcy Medweży, lasów należących do Nietroni.
Była okazała, wielka chata, budynki gospodarskie, szare pnie pasieki, warzywnik, sad owocowy, stopy drewna, suszące się sieci, nawet trochę kwiatków przed domem. Pies bury ujadł zajadle na łańcuchu przy budzie, a na progu stanęła z powitaniem kobieta dorodna i uśmiechnięta — gospodyni i żona Ohryzki.

* Seło (ukr.) — wieś.

* Prość — przesmyk wodny.

* Kabany (ros.) — dziki.

Roztasowali się prędko na prawej stronie chaty, w izbie specjalnie przeznaczonych dla dziedziców na ich lustracje i polowania.

Ohryzko raportował na pytania pana Michała:

— Kabany są. Locha z siedmiu prosiętami — i trzy zeszłoroczne. Stary przechodzi — czasami leży po parę tygodni w Netrze — potem idzie. Kóz zatrząsienie. Kozłów naliczyłem siedem. Dwoje kozłat zadarł ryś. Kuna ma młode w dziupli. Borsuki też są. Troje młodych ma puchacz. Już spore.

— A on? — spytał pan Michał.

— Jest! — odparł Ohryzko z dumą.

— A ile ma?

— Dwoje.

— O, pięknie. Trzeba będzie Michasia tam zaprowadzić.

— Do czego? — spytał chłopak.

— Zobaczysz.

Ród Ohryzko w od niepamiętnych czasów żył i służył w Nietroni. Któryś z dawnych Białozorów uratował Bazylego Ohryzka, unieć, z ciężkiej opresji i schował go w tych niedostępnych bagnach, gdzie go nie wytropiono i zostawiono w spokoju. Potem sfabrykowano jakieś metryki i papiery i sprawa była w urzędowym porządku.

Ród się mnożył — wyrażał się w świat, ale zawsze któryś, nieładny kariery, zostawał w Medweży, opętany amatorstwem łowów, natury i walki z rabunkiem chłopstwa. Dawno już byli katolikami rzymskimi, bardzo gorliwymi i żenili się z dworkami i szlachciankami.

Obecny Ohryzko Józef był rówieśnikiem pana Michała, towarzyszem dziecinnych i młodzieńczych wypraw i przygód — raczej przyjacielem niż sługą. Latem bezpieczny za topielami, dostawał na zimę dwóch pomocników, z którymi stróżował, wojował, bronił i karał doraźnie, bo Białozor z zasady nigdy spraw sądowych nie wytaczał, mówiąc:

— Gdy wygramy — chłop w więzieniu stanie się gorszy. Gdy przegramy — stanie się zuchwalszy.

Ohryzko też mówił „my” i „nasze” o Nietroni, Medweży, rybie, drzewie i zwierzyńcu.

Miał Ohryzko za żonę kowalównę z Łuczy i czworo dzieci. Starsze dziewczyny pomagały matce, jeden chłopak pasał bydło, młodszy, ledwie od ziemi odrósł, już chodził za ojcem i wraść w dziedzictwo służby i leśnego bytu.

Ten, Adaś mu było, zaczął wnet szeptać z Michasiem:

— Paniczu, dudki się wyległy w szopie pustej, na ziemi, w kącie. Jak zajrzeć, to syczą jak gadziny.

— A remizowe gniazdo masz?

— Mam — zaprowadzę. I jaja kozodoja znalazłem i wydmuchałem.

— Naści trąbkę gościńca!

Aż poczerwieniał z uciechy i pobiegł matce się pochwalić.

Roztasowali się w izbie i poszli na drugą stronę do Ohryzkowej na podwieczorek.

A potem ułożyli plan jutrzejszych wypraw, słuchali opowiadań Ohryzki, i zmęczeni długą drogą i wiosłowaniem poszli wcześniej spocząć na siennikach, wypchanych wonnym sianem i miętą.

Od świtu dnia następnego zaczęli całodziennie wyprawy lustracji lasu i jego mieszkańców.

Las był bardzo i po barbarzyńsku zniszczony przez Niemców i przez odbudowę Polski. Niemcy wzięli co najlepsze dęby, odbudowa — co najlepszą sośninę. Ocalały ostępy świerkowe, olchy i brzeziny. Po wyrąbanych haliznach zagajnik się puszczał gęsto i śmigle, ale długo trzeba było czekać na dochód, długo pokutować za wojnę i rabunek.

Z młodości wspólnej wspominali o łosiach, o kolonii bobrów i Ohryzko kłął:

— Chłopy wszystko wytłukli, a Niemcy dokończyli. A co jeszcze żyje i się chowa, to o tym wspomnieć nie można, bo jak się policja dowie, to do starostwa doniesie, a pan Jelec i

graf zaraz polowanie sprawią — i o granicę nie będą pytać, i co ja przeciw takim wysokim „czynom”^{*} mogę rzec. Jedyne szczęście, że te kochane topiele trochę bronią, póki woda mała. Gdzie czółnem dotrą, to biją kaczki tysiącami. Prosta rzeź — i po co? bo i połowy nie zbiorą w gąszczu i bagnie, tylko rakom korzyść.

Po powrocie do leśniczówki, spoceni i zabłoceni, rzeźwili się kąpielą, jedli i pili z rozkoszą zwierzęcą, spali jak z drewna.

Michaś z Adasiem znosili osobliwości: gniazda misterne, cudaczne naroślą i czeczoty^{*}, rośliny rzadkie i kwiaty, węzowe skóry i na jedynej piaszczystej górze jałowej znalezione żółwie jaja — i krzemienne okrzoski.

Michaś tłumaczył Adasiowi o mieszkaniach ludzkich na takich wydmach lub na palach wśród jezior. Adaś opowiadał o zjawach i ogniach tańczących nad topielami, o głosach niesamowitych, o wilkach i zmijach z koronami na głowie, o mrowiskach, w których leżą kawałki bursztynu i o duchu niedźwiedzia, który czasem przesuwają się wśród świerków, i kto za nim pójdzie nieznacznie, zawsze znajdzie barć z pszczołami.

Całymi godzinami ćwiczyli się w naciąganiu i celowaniu z kuszy i wreszcie Michaś przyniósł w triumfie ubitą strzałą jaszczurkę, Adaś postrzelonego i jeszcze żywego młodego borsuka. Było przez cały wieczór opowiadanie o tym wypadku, a pan Michał rannego opatrzył, w nadziei, że się wyliże i da się oswoić.

Tak zbiegł jak chwila tydzień „hulanki”.

— Ojciec pojutrze zaczyna żniwa! — rzekł Michaś przy wieczerzy. — Mam w polu pomagać.

— Mielicieście przecie jutro po raki się wybrać. Ojciec wybaczy parę dni zwłoki.

— Ojciec wybaczy i słowa nie powie, ale ja się zwolniłem na tydzień — i miałbym wstyd, żem nie dotrzymał.

— Racja. Ruszymy po południu. Naładujcie, Józefie, do czółna tej żywicy, ryby suszonej i jagód dla panienci. My z Michasiem rano pójdziemy nad Hałocz.

— Tylko, panoczku, nie podchodźcie blisko. Nie dalej jak olchy rosną. Ja myślę, że jutro rój będzie dla starego pana. Ale to czarne, kąśliwe pszczoły. Tylko zimy się nie boją — i robotne!

Wczesnym rankiem ruszyły „dwa Michały”, kroczyli po różnych prostkach i wertepach^{*}.

— Michaś, czy ty wiesz, co znaczy „raróg”^{**}.

— Wiem, od „*rara avis*”, rzadki ptak.

— Więc się nie obrazisz, jak cię będą nazywać rarogiem? Bo się to może trafić.

— Niechta! I owszem. To się domyślam, że stryj mi takiego raroga pokaże.

— Tak jest i bardzo osobliwego. Orła bielika.

— A, a, a. To on tu bywa? Przelotny?

— Gniazdowy. *Aquila albicilla*^{*}.

Michaś podniósł głowę i spotkali się oczami. Krew zabarwiła twarz chłopca i jakimś głębokim głosem rzekł:

— To on się też nazywa białozor — jak i my.

— Jak i my! — powtórzył pan Michał. — Przedni, górny, samotny, łowny ptak^{*}. W największych lasach i najszerszych przestrzeniach bywa jedno gniazdo — latami na jednym

* Czyny (ros.) — urzędy.

* Czeczoty — tutaj: krzewiasta odmiana brzozy rosnąca na torfowiskach.

* Wertepy — bezdroża, miejsca nieprzejezdne.

* Raróg — sokół gnieźdzący się na terenach na wschód i południe od granic Polski. Podana etymologia nazwy niewłaściwa. Do XVI w. określano tym mianem ptaki, które w locie warczą lotkami.

* *Aquila albicilla* (łac.) — niewłaściwa nazwa gatunkowa orła bielika zwanego inaczej birkutem. Powinno być: *Haliaeetus albicilla*. Orła bielika nie należy identyfikować z Białozorem. Białozor, zwany inaczej sokołem norweskim, jest ptakiem zalatującym do nas z północy zimą.

miejscu, a niedostępnym. Nie mnożny — najwyżej parę młodych wychowa — często tylko jedno. Tu, na cały ten szmat ziemi, nie ma drugiego... Może za nami ze Żmudzi przybył. Familiant. Znałem go za mej młodości, odnalazłem za powrotem. Nie zginął od chłopów, od Niemców, od bolszewików.

— Jak i my, stryju!

— Tak jest. Górny, mocny, samotny!... Stań tu — dalej topiel. Masz tu dobre szkła — patrz przez tę haliznę na te stare olszyny, z tamtej strony — dojrzysz gniazdo!

Michaś wziął do oczu lornetkę, ale ręce mu drżały i długo szukał.

— Wielkie, ciemne. Widzę — wyszeptał wreszcie.

— Teraz poczekajmy nieruchomo. Przyniosą żer dla młodych. Przypatrz się dobrze.

Czekali dość długo, aż się rozległ gwizd i nad kępą olszyn przeleciał ptak potężny. W locie cisnął zdobycz na gniazdo i wzbił się w błękit, aż stał się punktem ciemnym.

Czekali zapatrzeni — nie wracał.

— Dojrzał nas, przestraszył się — szepnął Michaś.

— Białozor by się przestraszył. On się nikogo nie boi. Ale teraz koniec czerwca, a młode się lęgną w marcu. Już je uczy, by sobie same radziły — toć orły są nie gawrony — honor i siłę mają i młode. Rozumiesz?

— Przecie ja też Białozor.

— Oto chodzi, rarogu!

Uśmiechnął się pan Michaś i zeskoczył z kępy, kierując się na stały grunt.

— O tym gnieździe wiemy tylko my trzej i Ohryzko. Mówić nie trzeba. Za wiele teraz jest myśliwych wśród władzy. Polują wszyscy. Nie trzeba wspominać. Pokusi się który na osobliwość — bronie mają drogie i dalekoosne. Może być mord. Białozora mieć wypchanego w szafie w województwie — oj — byłiby radzi! Oni tylko gawrony hodują i pasą! Orłów im nie trzeba w tym kraju.

— Ode mnie nikt się nie dowie!

Wrócili do Medweży i zładowali się do powrotnej drogi. Czółno było pełne leśnych osobliwości i produktów i cała rodzina Ohryzki żegnała ich na brzegu, ucząc jak najkrótszych prości i przesmyków — i oto znaleźli się znowu na cichych, leniwych wodach, wiosłując pilnie, bo się zawlekło dobrze z południa.

Mało mówili, zajęci szlakiem, a Michaś miał wrażenie, że skończył nie tylko klasę szkolną, ale i okres nieodpowiedzialnego dzieciństwa. Głowę miał pełną rojeń i pomysłów, i zamiarów ciężkich, i obowiązków bardzo trudnych, ale honornych i przednich.

Gdy byli już niedaleko swej zatoczki i zmierzch z łóz wypełzał, nagle obydwaj drgnęli na szum i gwizd — podnieśli głowy.

Ich ptak płynął nad wodną roztoczą na szeroko rozwartych skrzydłach — wolno, majestatycznie.

— Panuj! Cześć ci! — rzucił mu Michaś.

Czółno skręciło pod ręką pana Michała, otarło się o brzeg, stanęło u celu.

— Jesteście! Czekam tu na was! — ozwał się serdeczny głos.

— Gabryk! — wykrzyknął Michaś.

Szczupły, wysoki młodzik w czarnej sutannie przytrzymał czółno i wciągnął je na ląd.

A potem uściskał go pan Michaś, porwali się w objęcia z bratem i obładowani ruszyli ku domowi.

— Ojciec czeka na was. Chce, żebyśmy przed jutrzejszym zniwem w pole poszli na pacierze z ziemią kochaną. Zboże piękne — widziałem z drogi od miasteczka.

— Toś dzisiaj przyjechał?

— Onegdaj. Na całe wakacje.

* Łowny ptak — niewł. określenie ptaka, przy pomocy którego uprawia się polowanie. Powinno być: łowczy ptak.

- A skrzypce masz?
- A jakże! A ty na łucznika się kierujesz. A co się to rusza w tym worku?
- Borsuczek! Michaś go postrzelił, a ja wyleczę i oswoję. Zimą będzie na myszy polował.
- I rój mamy dla dziada Kajetana.
- Ohryzki zdrowe?
- Na schwał. A u nas, w domu, co słyhać?
- Boże prawo! — rzekł pan Michał. — Teraz do letniego znoju, chłopcy... Wyhulały się dwa Michały w puszczy, a tobie, Gabryk, trzeba się w słońcu odbarwić z bladeści. Będzie słoneczna uciecha i nowy chleb.

VI.

Pan Antoni Jelec trzy dni spędził pracowicie w kuźni przy Sawickim jako pomocnik i czeladnik. Zaczynali robotę o świcie, kończyli o zmierzchu. Przy posiłkach zbierała się cała rodzina. Szwagier Nieumierszycki — wiecznie wszystko i wszystkich krytykujący i uczący, siostra Julcia zahukana przez męża, gromadę niesfornych dzieci i służbę, i pan domu, prześladowany narzekaniami, skargami i krytycznymi uwagami szwagra. Znosił wszystko z cierpliwością, dobrym humorem i delikatnością wzorową, ale na czwarty dzień rzekł do Sawickiego:

— Wie pan! Przypomniałem sobie, że jutro mam w banku termin wekslowy. Muszę jechać. Trochę poklecił pan tę maszynę. Spróbuję, jak się trzyma. Może komu wsadzę.

I uciekł bez meldunku w domu.

Sawicki na to tylko czekał i nazajutrz oznajmił pani Julii, że ponieważ jest osmolony i brudny, woli jadać w kuchni.

Był o swój wikt i wygodę zupełnie spokojny, bo zaraz drugiego wieczora, gdy szedł do swej noclegowej salki na facjacie, wszechwładna Grypa zaniepokoiła się, że po ciemku może się na schodach potknąć i przeprowadziła go z latarnią, i ten swój czyn troskliwy spełniała co dzień z wielką uprzejmością.

Zjednał ją tak swą wdzięcznością i galanterią, że zajęła się jego garderobą i bielizną, wiktem, opierunkiem i wszelką wygodą życia.

Pracował ochoczo i pilnie, bo się wynudził długim, przymusowym próżniactwem w Nietroni, czuł się zdrowym i silnym i o przyszłość się nie troszczył. Przychodził do jego warsztatu w garażu Nieumierszycki, który ciągle wszystkich krytykując i wyrzekając na próżniactwo ludzkie, sam nic nie robił i pasożytował wiek cały.

Gdy i tu zaczął się wtrącać i rady dawać w fachu, o którym nie miał pojęcia, Sawicki przepłoszył go rychło zgrzytem narzędzi i dymem gryzącym chemikalii — i odzyskał spokój.

Aż oto pewnego dnia ujrzał na progu warsztatu dwóch wyrostków wiejskich, przyglądających się natrętnie robocie.

— Pilnujcie narzędzi, bo ukradną — ostrzegał go kowal. Zaśmiał się. Poznał jednego.

— A witam. Faraon Woszczenko, syn Klima Zajca. A gdzie moja wódka?

— Jaka wódka?

— Com ci na nią dał trzy złote.

— Kiedy?

— Zeszłego piątku.

— A gdzie?

— Na grobli.
 — To pan był?
 — A ja! I zameldowałem już policji. Wtedy chłopiec przypomniał sobie.
 — Powiedzieli, że pana nie ma, więc ja wódki nie przyniosłem, ale jest w domu. A jakże. Tylko, że ojciec komorę zamknął. To chyba wieczorem. My chcieli na maszyny popatrzeć.
 — Popatrzysz — jak przyniesiesz.
 Ale chłopcy nie odchodzili. Ich łapczywe, świdrujące oczy utkwione były w warsztat.
 — No, światła mi nie zasłaniajcie. Poleszuki.
 — My nie Poleszuki — my Ukraińcy.
 — Ukraińcy! Jakżeście tak daleko zawędrowali i kiedy — chochły*? Toście nie tutejsi?
 — Tutejsi od wieków. Ukraińcy!
 — Patrzcie no. To może wy Bułgary czy Serby? Zastanówcie się i zdecydujcie. Można wybierać, jak kto nie wie, kim jest.
 — My Ukraińcy! — uparcie powtórzył chłopiec.
 — No, wynosić się i przynieść moją wódkę.
 Ociągając się odeszli. Zatrzymali się przy oborze, ale ich odpędził Bućko.
 — Czego wy tu? Łańcuchy znowu chcecie ukraść! — Tedy już wycofali się za bramę.
 Ale dopiero nazajutrz ukazał się sam Woszczenko, z jakąś butelką w ręku i zbiedzoną miną.
 — Bieda mi się zdarzyła, panie. Niosłem wódkę, potknąłem się na na kocie i ot flaszka się potłukła.
 Sawicki wyszedł przed garaż i wziął do rąk butelkę, obejrzał, powąchał.
 — Aha! — zaśmiał się. — Słuchaj no, Faraonie Woszczenko, synu Klima Zajca i Ukraińcu. Żeś mi ukradł trzy złote, to twój chamski proceder i to bym ci wybaczył, jak małpie czy sroce. Ale, że ty masz mnie, Polaka, za durnia i przynosisz mi jako dowód stłuczoną butelkę po nafcie, tego ci nie daruję. Jazda!
 Postąpił naprzód, chłopiec zawrócił do ucieczki, tedy cisnął za nim dobrze wycelowaną butelką, która trafiła w dół pleców, roztrzaskała się i zapewne dotarła do żywego, bo chłopiec wrzasnął, uchwycił się za pośladek i zemknął.
 — Won, chachłacka mordo! — zaklął za nim po żołdacku szofer. A potem zaczęli się śmiać z kowalem.
 — Dobrze pan, hycła, postrzelił. To szkodnik, wsiowa zaraza. Jest tego cała banda złodziei i psotników. Im dłużej się uczy, tym mniej chce pracować i starszych nie szanuje, bo durnie, powiada. Skaranie boskie!
 — Dlaczegoż on Woszczenko, a ojciec Zajec?
 — Bo tu każdy ma ze trzy nazwiska.
 — To i nie dziw, że i narodowości ma parę! Ale co nauczyciel z tym robi?
 — Nauczyciel! — ruszył ramionami kowal. — Jakiś cudzy — z daleka. Ni ludzi, ni kraju nie zna. Uczy, bo mu za to płacą, ale ino wygląda, by się do miasta i między swoich dostać. Co roku inny. Ten terazniejszy — to za dziewczkami lata i podania pisze, na panów!
 — A cóż ma do panów?
 — Bo on z takiej partii, co przeciw panom. Żeby ziemia do chłopów przeszła, powiada! Sawicki wzruszył ramionami i wrócił do roboty.
 Kwestia nie obchodziła go zbytnio, ale logicznie pomyślał, że nauczyciel polski, agitujący przeciw polskim obszarnikom, jest szczególnie tworem na Polesiu.
 W przeciwieństwie do Nietroni, gdzie rządził właściciel, w Łuczy rządzili ekonom Kulesza i gumieny Bućko, rówieśnicy „nieboszczyka pana”, na młodego nie zwracając wielkiej uwagi. Kulesza z postaci podobny do łosia — obyczajnie miał do tego zwierza podobne: życie

* Chochły — pogardl. nazwa Ukraińców.

swe latem i zimą spędzał na błotach i łąkach, które zajmowały dziewięć dziesiątych przestrzeni Łuczy. Te bez miary kosili chłopci na części, składali w stogi, które następnie, gdy zima ustaliła bagna, dzielono i zwożono do dworu lub sprzedawano na miejscu.

Był to jedyny dochód majątku, gdyż orne grunta stanowiły piaski przecięte sosnowymi, koślawymi zaroślami i jałowcem, i plon takowych zaledwie wystarczał na chleb dworu i czeladzi.

Inwentarz zniszczony przez Niemców zaczęto zrazu odhodowywać, skupując jakie się dało cieleta i młodzież, ale gdy je parę razy zlicytowano za podatki i daniny, przestano się o to starać, zachowując krowy służby i parę dworskich, kupionych przez Nieumierszyckiego dla dzieci.

W początkach Jelec rzucał się, zabiegał, starał się, potem jakby w nim się coś złamało.

Wdał się w stosunki z inną beztroską młodzieżą, popadł w manię samochodu, handlowi, towarzystwa próżniaczego w powiatowym mieście, stał się gościem w domu, męczennikiem wekslowych terminów, poławiaczem różnych kredytów i tak to się wlokło z roku na rok ciężej i gorzej.

Byłby chętnie sprzedał część majątku, ale na te piaski i bagna nie było amatorów, bo chłopci żyli wiarą, że lada dzień rząd zabierze panom ziemię i im ją bezpłatnie odda. Wszyscy agitatorzy i kandydaci na posłów wmawiali im to na wiecach i pisały to samo broszury i pisma „ukraińskie”, szczerze rozsyłane po gminach.

Reforma rolna, ustawa gminna i samorządowa, województwo, sejmik, starostwa, system podatkowy, ustawa drogowa, tysiące coraz nowych przepisów, opłat, ograniczeń odebrały zresztą wszystkim obszarnikom Polakom energię i prawie przytomność umysłu. Znękani wojną, wśród ruiny swych warsztatów, tracili siły i wiarę w przyszłość i możliwość trwania i przetrzymania nowych warunków.

Pozbawieni byli środków i nawet głosu obrony w gminie i sejmiku. Byli mniejszością, o którą nie troszczył się nikt i która nigdzie nie miała przedstawicielstwa i opieki.

Antoni Jelec, wracając z powiatu po tygodniowym tam pobycie, zboczył do Nietroni. Ujrzał wuja przy żniwiarzach, więc zatrzymał maszynę i ruszył ku niemu przez świeże rżysko.

— Gęsto kop u wuja! — rzekł po przywitaniu.

— A u ciebie?

— Nie wiem. Byłem w mieście. Kulesza pewnie też żnie.

— Skończę do soboty. Cóż słyhać na świecie?

— Dostaliśmy pożyczkę siewną.

— Teraz — w żniwa?

— Ano trochę się spóźniło. Zda się na co innego.

— A na jaki termin?

— Na dziesięć miesięcy. Dziesięć procent, ale to się sprolonguje. Dobre warunki. Dostałem tysiąc złotych. Opłaciłem Rubina i zapcham gardło gminie. Wuj by też mógł dostać — mówi prezes.

Żniwiarze zasiadali do obiadu, więc i oni ruszyli ku domowi, samochodem.

— Jakaś inna maszyna? — zauważył Białozor.

— Przehandlowałem z Niemekszą. Moją „Tatrę” świetnie zreperował szofer, co tu leżał u wuja. Doskonały mechanik. Pracuje u mnie miesięcznie. Jak mi jeszcze tamte dwie doprowadzi do porządku, wymienię na zupełnie nową i mogę stawać do rajdów.

— Nowy fach i proceder. Cóż Nieumierszyccy?

— On wciąż się stara o posadę, a Julcia w ciąży! Stara się o piąte. Pokręcił głową Białozor, ale nic nie rzekł.

Gdy stanęli przed mieszkaniem, wypadła Terka z prośbą, żeby choć do stodoły podwiózł, więc gdy z nią pojechał na gumno, spotkał resztę rodziny, jak zwykle przy pracy.

Dwa Michały szły ze stodoły spoceni i zakurzeni.

Kleryk pod szopą z narzędziami majstrował przy grabiach, monotony jęk wirówki rozlegał się z piwnicy.

Zaczęli się witać, gawędzić — pojechał do piwnicy.

— Thais! Zawiozę cię do domu. Dasz mi za to obiad, bom strasznie głodny.

Uśmiechnęła się do niego.

— Ruszaj sam. Za kwadrans dostaniesz obiad. Tymczasem nie denerwuj psów swą maszyną... Terka, przyniosłaś sałatę i ogórki?

— Ach, zapomniałam! — i popędziła do ogrodu.

Michały zaczęły się myć przy studni, więc zabrał tylko kleryka.

— Słuchaj no, Gabryk. Czekam już lata na twe wyświęcenie ze spowiedzią. Coraz mi więcej grzechów i długów przybywa. Ciężko!

— Będziesz czekać rok jeszcze, ale potem idę do Akademii.

— Tyle afery, żeby zostać księdzem. Lepiej byś poszedł na weterynarza czy dentystę... Słuchaj no, ale mi ślub z Taidą dasz?

— Owszem, skoro oboje będziecie na to zgodni.

Jelec stęknął i począł coś w samochodzie majstrować. Ale po chwili już w całej swej niefrasobliwości zasiadł do obiadu i gadał za wszystkich.

— Ciociu, przywiozłem ostatnie gazety, a modne panie noszą krótsze suknie i strzygą włosy, *a la garçonne**. Strasznie jest. A dziadek wie, że ma być kredyt na rozszerzenie pasiek. I sejmik ofiaruje szczepy owocowe na wypłatę. Jest rozmach! A jaki pyszny gmach stawiają dla starostwa. I nad rzeką jest plaża kąpielowa, i starosta chce robić korty do gier sportowych... Nasz powiat zupełnie po europejsku wygląda. Bo i bardzo stylowe domy stawiają dla urzędników.

— A iluż ich tam jest, że się w mieście nie mieszczą — spytał Białożor.

— Bo ja wiem. Pewnie tysiąc! Tyle instytucji państwowych. Starostwo, Wydział Powiatowy, Izba Skarbowa, Komenda Policji, Wydział Sanitarny, Weterynaryjny, Akcyza, sądy, kasy komunalne, Wydział Drogowy, Inspektorat Szkolny. Kto zliczy?

— Iluż jest w Inspektoracie Skarbowym?

— Nie wiem ściśle. Piętrowy gmach! Pewnie z pięćdziesięciu urzędników. Wuj tam nie był?

— Nie. Bywałem przed wojną — dwa razy do roku, płacąc podatki. Było siedmiu.

— Przed wojną! — zaśmiał się Jelec. — Dziecinne to były zabawki. Teraz rozbudowuje się Polska mocarstwowa! Na potężnych, demokratycznych podwalinach.

— Musiałeś tymi dniami przemawiać na jakimś urzędowym, zbiorowym bankiecie w imieniu ziemiaństwa. Miód ci z ust płynie! — rzekł pan Michał.

— Nie przemawiałem, ale byłem na obiedzie pożegnalnym dla zastępcy starosty, który został przeniesiony do Bydgoszczy.

— A nowy już jest? Skąd?

— Jest. Pan Kozera, ze Śląska.

— A był tam przedtem jakiś spod Rzeszowa.

— Był. Pan doktor Kneć. Bardzo ładną miał żonę. A wie wuj, że do Protasewiczów na wakacje przyjechał profesor Szczytt. Przez dwa t.

— Pojadę go odwiedzić! — rzekł żywo pan Michał.

— A młodzi Protasewicze zawsze próżniaczą? — spytał Białożor.

— Wzięli się do nauki. Chodzą na wieczorne kursy do panny Wiery jeden, a do panny Ziuty drugi. Wakacje, lato, więc nauczycielki szkół powszechnych rade mieć kursy dla dorosłych analfabetów.

* *A la garçonne* (fr.) — na chłopczycę.

Roześmiał się, ale mu nikt nie zawtórował, więc się zwrócił do milczącej Idy.

— Czytałaś ostatnią powieść Szczuckiej?

— Nie.

— Przywiozłem ci „Wielcy i mali”! I dla Terki coś jest, i dla Michasia.

— A co? Pokaż! — porwała się Terka.

Białozor pierwszy ruszył do żenców. Rozchodzili się wszyscy, każdy do swej roboty.

— My szykujemy korty w stodole do jutrzejszej partii tenisa z widłami i snopami! — rzekł pan Michał. Jelec podał mu papierośnicę.

— Nie kuś! Odprzysięgłem się od tytoniu do chwili, gdy wygram na loterii. Ale dotąd jeszcze nie mam biletu — i śmiejąc się poszedł.

Jelec jednak skusił wuja Kajetana, potem obdarował ciotkę gazetami, dzieciom dał książki i przecuciem wiedziony odnalazł Idę w ogrodzie przy pomidorach.

Stanął przy niej i milczał, zapatrzony na jej pracowite, sprawne, spalone ręce.

— Thais, czy my się doczekamy swego życia? — rzekł wreszcie tonem i głosem, którego nikt nie znał, ani przypuszczał u niefrasobliwego wesołka.

— Chyba nieprędko! — odparła spokojnie. — Idziemy takimi różnymi drogami.

— Ty idziesz drogą — a ja łożami! — zanucił.

— Nie fałszuj tak strasznie...

— Ty te tutejsze dzieci pohodujesz! Jest jakiś kres i termin. Ale ja do śmierci nie pohoduję tego mrowia Nieumierszyckich.

— Obiecałeś mi, że Łuczę utrzymasz dla nas.

— Obiecałem przed ich najściem.

— Teraz się cofasz? Żal ci ofiary?

— Rozumie się. Przecie i mnie się cokolwiek od życia należy. Pewnie! Każdy to czuje. I co?

— A to, że moje prawo jest przed tobą się wyjęczyć! Powiedz — mam to prawo do ciebie.

— Masz.

Spojrzała nań swymi surowymi oczami, ale mu się twarz rozjaśniła.

— No, to już dobrze! Nie będę jęczyć! Powiedz, bardzo zła jesteś na mnie?

— Nie. Znam cię tak dawno.

— I lubisz trochę?

— I lubię trochę — powtórzyła.

— Ja zaś cię kocham całe życie. Chyba od czasów, jakieśmy się bili, czubili i darli za włosy przy każdej zabawie. Mam cię za swoją jedyną własność, której nie grozi reforma rolna, bankructwo, osadnictwo, chłopcy, żydy, urzędy, uchwały sejmowe, dekrety prezydenta, przepisy administracji, gminy, policji i kto zliczy to wszystko. Przed tobą nie kłamię, nie udaję, nie robię z siebie błazna — jesteś mi sumieniem!... Otóż chcę ci poddać moje przemyślenie, żebyś je też rozważyła... Słuchaj. Wy tu w Nietroni przetrwacie i wytrzymacie. Wuj jest mędrcelem życiowym — i zebrał sobie do czynu ród żelazny. Ma przed sobą cel. Trwanie szczepu. Ja jestem sam i będę długo jeszcze sam, czekając na ciebie. W domu nic robić nie mogę, ani żyć w tej atmosferze. Nie masz pojęcia o głupocie Julci i o zarazie teorii Edmunda. Toć to żywa, chodząca i gadająca zgnilizna pesymizmu, krytycyzmu i nieróbstwa. Kłócić się, sprzeczać, wystąpić w roli gospodarza i zabronić — nie mogę. Oni są naprawdę nieszczęśliwymi wygnańcami i rozbitkami, na mojej łasce i utrzymaniu. Nie mogę tego okazać — nie potrafię być chamem. Więc żyję na drodze lub w miasteczku, próżniaczę, handlując, grając w karty, pożyczając, splacając, znowu pożyczając — tacy się teraz zwą kombinatory, dawniej nazywali się gorzej i ja tę nazwą dawną pamiętam i coraz bardziej mi dokucza. Wobec tego myślę iść stąd precz i nie wrócić, aż mnie wezwiesz.

Wyrzucił z siebie to wszystko prędko, gładko, jako rzecz dobrze sobie wiadomą i spojrzał na nią.

Przestała pracować i słuchała zapatrzona w omdlewający w skwarze sad.

— Masz jakiś konkretny plan? — spytała spokojnie.

— Mam. Wyjadę do Afryki. Do Algieru. Mam tam znajomego kolegę ze szkół, poznańczyka. Był jeńcem — ożenił się z Francuzką i ma tam posiadłość.

— A co będzie z Łuczą?

— Zostawię ci plenipotencję*.

— Mnie.

— A komuż? Przecie Łucza nasza: twoja i moja. I przecie nie powierzę jej Nieumierszyckiemu! Tutaj nie zostanę. Nie chcę, nie mogę! Zresztą i ty nie powinnaś na to pozwolić! Jestem na pochyłości i wreszcie i ty mnie nie wydźwigniesz. Nie każ mi dalej w tych warunkach i wśród tych ludzi żyć. Dławię się upokorzeniem i wstydem, i buntem na to, co się tu dzieje!

— Nie żądasz przecie, żebym ci w tej chwili odpowiedź dała. Muszę to ojcu powiedzieć.

— Ja powiem. Dziś wieczorem.

— Dobrze. Będziemy razem.

— Powiedz, czy w tobie nie ma buntu nigdy?

— O bardzo często, tylko przeciw innym sprawom. Bunt, upokorzenie i wstyd, i wstręt, ale specjalny — osobisty — kobiecy.

— Na nas!

— Nie. Na kobiety.

— A tak! Używają kobiety i w mowie, i w stroju, i obyczajach. Równouprawnienie, swoboda. *Egalite, liberte, fraternite**! Używają — zaśmiał się. — Na tym równouprawnieniu mężczyźni zrobili najlepszy interes.

— Przestań! — warknęła.

— A tobie co do tego! Ty jesteś raróg.

— To nie broni od uczucia wstydu za tamte. Chcesz stąd uciec — nieznosne są ci warunki, i bierność, i próżniactwo, i głupota — wierzysz, że na szerokim świecie znajdziesz ludzi czynu, woli i rozumu. Ja nie mam gdzie uciec, bo z książek, z gazet, z teatru, z filmu policzkuję mą godność wszędzie jednaki szablon — równouprawnionej, wolnej kobiety!

— Pal ich kat! — wrócił do swej niefrasobliwości Jelec.

— Chodźmy na spacer w pole, Thais.

— Na spacer! W roboczy, lipcowy dzień. Weź tam w budzie pęk rohoży i pomóż mi pomidory przywiązać. Będiesz sobie to robił w Algierze.

Po wieczery — gdy się rozchodzono — Jelec odchrząknął i zbliżył się do Białozora.

— Wuju — my z Taidą — to jest — właściwie ja — chciałbym pomówić z wujem.

Białozor spojrzał na córkę. Przez myśl mu przeszedł niepokój — trwoga. Spotkali się oczami bardzo do siebie podobni i uspokoił się.

— Ano — to chodźcie! — rzekł otwierając drzwi do swego pokoju. Równie ubogi — pusty — był w nim tylko jedyny zabytek dawnego dostatku: staroświecki mahoniowy „kantorek” uratowany ze spalonego domu i na ścianie parę sztuk starego oręza wokoło ryngrafu z Matką Boską. Usiadł za stołem — oni naprzeciw niego na ławce i Jelec mówić począł, coraz nabierając śmiałości. Gdy skończył, chwilę Białozor milczał, a potem zaczęło się ciężkie, śledcze badanie:

— Ile masz wekslowych długów?

— Nie wiem ściśle — przyznał się pokornie.

— A co masz na ich pokrycie?

— Czy ja wiem! Trzy maszyny. Zeszłoroczne siano. Coś tam z dzierżawy od rybaka, Srebro! — Mówił coraz wolniej, z oczami wbitymi w deski stołu.

* Plenipotencja — upoważnienie, prawo działania w czyimś zastępstwie.

* *Egalite, liberte, fraternite* (fr.) — równość, wolność, braterstwo.

— Zanim się stąd wycofasz i pójdziesz w świat, to powinno być załatwione na czysto! Odchodzisz — nie uciekasz! Rozumiesz. Inaczej ci nie wolno.

Jelec milczał. Podniósł oczy ostrożnie na Idę. Patrzała na ojca.

— I Łuczę powinieneś komuś zdać w opiekę. Masz przyjaciela, który się tego podejmie? bo na płacenie administratorów cię nie stać.

— Ja myślę wuju, że Ida — zaczął.

— Nie. Ida się tym nie zajmie! To by było skrępowanie ciebie zobowiązaniami. Powinieneś być tam wolnym i niezależnym.

— Ale ja chcę być zależnym! — wyrwał się.

— Ale my nie chcemy! — rzekł twardo Białożor.

— Przecie Ida zgadza się na mój plan i będzie na mnie czekała — zaczął desperacko.

Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu:

— Możesz być pewnym mnie, ale nie bądź pewnym siebie. Jeślibyś tam chciał pozostać — ja stąd nie odejdę dla ciebie, a jeślibyś tam znalazł inną — czuj się zupełnie wolnym! To jest myśl ojca i moja.

— W takim razie — niech tu przepadnę i zginę. Tak jak wy chcecie — ja nie chcę.

Zerwał się i chodził po izbie wzburzony.

— Więc nie masz przyjaciela w tym gronie kolegów, towarzyszy, partnerów, rówieśników, z którymi żyjesz? — spytał Białożor.

— Żartuje wuj. Toć to takie same bankruty, próżniaki, kombinatorzy i nieroby jak ja. Wuj drwi ze mnie! Nie mamy co więcej o tym mówić. A ty — zwrócił się do Idy — obelgę mi rzucasz w twarz. Niech i tak będzie. Nie kochasz mnie, nie wierzysz, masz za chłystka. Bardzo dobrze. Skończone! Bywajcie zdrowi.

— Co skończone? — rzekł Białożor.

Jelec zatrzymał się już w progu i opamiętał się. Właściwie to spokojne pytanie tknęło go.

— Nic nie jest skończone — ciągnął Białożor dalej. — Ani nasze pokrewieństwo rodowe, ani pokrewieństwo tutejszego wspólnego bytu i pracy od stuleci, ani uczucie wasze wzajemne, ani przyjaźń nasza. Jesteś na razie niezdolny do frontowej służby. Stargałeś nerwy — musisz nabrać sił i odporności na atak, który nas chce ze stanowiska usunąć. Dajże nam, którzy zachowaliśmy całe nerwy, sobą pokierować. Czy uznajesz, że powinieneś interes zostawić w porządku, żeby twego nazwiska nie szarpała słusznie opinia?

— Uznaję — mruknął.

— Czy uznajesz, że byt twej ziemi powinien być oddany w dobre ręce, żebyś był o nią spokojny i nawet w razie trudnych i ciężkich początków miał tam oparcie i obronę od nędzy i rozpacz?

— Uznaję.

— A zatem ci radzę, żebyś poprosił wuja Michała o przyjęcie plenipotencji.

— Wuj Michał nie zechce. Nie śmiem. Toć tam bieda i Nieumierszyccy! Doprawdy nie śmiem.

— Stryj się zgodzi! — rzekła Ida.

— Ty poprosisz za mnie! — spojrzął na nią ze skruchą i nieśmiałością.

— Poproszę z tobą, jutro.

— Zatem na dziś dosyć. Masz tu posłanie, a i czas nam spocząć przed robotą — powstał Białożor i spojrzął w okno, gdzie już białło niebo.

Ida i Jelec pochylili się do jego ręki i żadne nie wyrzekło słowa. Sprawa była załatwiona. Białożor klęknął do pacierza, Jelec, zaniebując ten obrządek, prędko zakopał się w posłanie z siana i udawał, że śpi, choć oka nie zmrużył i przed wszystkimi był już na gumnie, szukając Idy.

— Chodźmy do wuja Michała. Zaśmiała się, spiesząc do obór.

— Źle masz w głowie. Któż z nas zmarnuje chwilę roboczą w pierwszy dzień zwózki.

— Cóż ja będę robił cały dzień?

— Możesz ładować snopy na polu lub w stodole. Ot, Semko już kucami wyjeżdża. Jedź z nim. Ojciec i Gabryk są już na lanie.

— A ty?

— Moja robota cały rok jednaka, z małymi zmianami. Przyniosę wam śniadanie za godzinę.

Roześmiał się i skoczył na przejeżdżający pusty furgon.

— A żywo, bo my już czekamy! — krzyczały za nim „dwa Michały”, stojąc w otwartych wrotach stodoły i prezentując bardzo foremnie błyszczące stalowe widły.

I porwał go szaf letniego znoju, pośpiechu, zdrowej gimnastyki, chęci przodowania, zabezpieczenia tego chleba, pochwalenia się swą siłą i zręcznością. Odsunął Semka, zajeżdżał zgrabnie od mendla* do mendla, napędzał podające snopy dziewczyny, ładował kopiaste wozy, zajeżdżał kłusem do stodoły, ciskał ciężkie wiezie w zapola na nastawione sprawnie widły „Michałów” i parobków.

Na pusty jego furgon przysiadła Ida z koszykiem śniadania dla ojca i Gabryka, którzy na równi z czeladzią ładowali snopy w polu, i pił z rozkoszą chłodne mleko z kubka przez nią nalanego, i jadł ze smakiem świeży razowiec przez nią krojony, i śmiał się do niej oczami, sercem, całą duszą.

— Thais — będziemy tak robili w naszej Łuczy.

— Będziemy! — odpowiedziała z uśmiechem.

Nakarmiła ich wszystkich na polu, a wracając, już pieszo, miedzami, zabrała jego surdut rzucony niedbale, bo się zgrzał okrutnie, a ten mały dowód troskliwości napełnił go taką radością, jakby wyznanie najczulsze.

Przed obiadem umyli się wszyscy przy studni i zasiedli do posiłku krótkiego, z humorem, śmiechem i wilczym apetytem.

I znowu kipiła robota, znojna, ciężka ale jakże ochocza, i kipiła do późnego wieczora, bo nazajutrz była niedziela i chmurzyło się na zachodzie.

„Michały” namówiły go do kąpieli i dopiero wieczorem wrócili orzeźwieni, śpiewając. Po wieczerzy dzieci, bardzo senne, ulotniły się, a pana Michała wywołała Ida.

— Rozstrzyga się mój los! — rzekł Jelec do Białozora.

— Zwieźliśmy dwieście kop. Byłe się nie zaśłociło. Jutro trzeba na mszę, Bogu podziękować. Zboże pełne i ciężkie. Owsy już bieleją! — mrucał wpółsenne Białozor.

Za drzwiami rozległ się głos pana Michała gderliwy i ziewający. Wszedł i od razu napadł na Jelca.

— Co ci tak pilno, że ludziom tchnąć i spać nie dajesz. Zameczył nas obu z chłopcem — czempion snopowy! A teraz na gawędkę wyciąga o wekslach i zaległych podatkach...

— Wuju proszę wybaczyć. Myśmy z Idą chcieli prosić o przyjęcie plenipotencji na Łuczę, bo ja muszę...

— Co masz prosić. Głowa rodu wydała na mnie wyrok. U nas, Białozorów, taka wola nie podlega protestom. *Capo locuta, causa finita est**. Kości mnie bolą i chcę spać. I wszyscy też! Dobranoc! Tylko trzymać do chrztu przyszłych członków plemienia Nieumierszyckich nie będę.

Białozor już klęczał do pacierza. Ida się wcale nie pokazała. Jelec legł na posłaniu i zasnął kamiennym snem znoju i spokoju o przyszłość.

Gdy się nazajutrz obudził, był wielki dzień i aż dzwoniąca w uszach cisza. Zawstydzony ospalstwem, ubrał się prędko. W jadalni znalazł dzbanek mleka i chleb — zresztą żywego

* Mendel — kapica zboża złożona z 15 snopków.

* *Capo locuta, causa finita est* — włosko — łacińska przeróbka znanego cytatu z kazania św. Augustyna. Tutaj w znaczeniu: Przywódca przemówił, sprawa rozstrzygnięta.

ducha. Zajrzał do stancji wuja i chłopców — pustka, poszedł do kuchni i znalazł Łuczychę przy garnkach. Baba pochodziła z Łuczy i знаła go od dziecka.

— Nie ma nikogo, paniczu. Poszli do kościoła.

— Wszyscy!

— Ino stary pan nie zduża* i pacierze baje przy pszczołach.

— Pojechali wszyscy?

— Poszli — zaraz po doju. W niedzielę u nas koni brać nie wolno — na paszy są!

Poszedł do pasieki. Dziad Kajetan zapatrzony na krętaninę pszczół siedział na kamieniu i nizał paciorki różańca.

— Dzień dobry, dziadziu. Jedźmy i my do kościoła. Zaraz maszynę przygotuję. Zaspalem szpetnie.

— A dobrze, dobrze! — ucieszył się stary. Ja bo, widzisz, już dawno nie byłem. Zdeptane nogi. Bieda! Zaraz, kitel zmienię i jestem!

Po chwili już sunęli dobrym pędem i stary gawędził:

— Jakem się tu dobił — jak do portu rozbitek. Zastałem trzy pnie w kłodach, a teraz całe miasto pszczół. Od trzech lat już dają po kilkaset złotych dochodu i ja stary nie czuję się ciężarem. Zresztą ten ród to jak pszczoły. Miód noszą i gniazda bronią. Nie mają innej złości. Łaska ich słodka!

— Oj słodka! — powtórzył Jelec, czując w sercu drzenie, jakby śpiewu.

W kościele było pełno. Przecisnął się do gromadki Białozorów i stanął obok Idy.

Gabryk z Michasiem służyli do mszy.

Gdy przy Suplikacjach kościół cały się rozśpiewał, Jelec też głos dołączył, a wychodząc, rzekł z cicha do Idy:

— Wiesz, zrobiłem odkrycie, że w kościele można się nie nudzić i nie gapić tylko. Anim się obejrzał, że to summa.

Uśmiechnęła się:

— Mam nadzieję, że jeszcze wiele innych rzeczy odkryjesz.

— Myślisz? A może — zdecydował zgodnie.

* Nie zduża (reg.) — nie jest w stanie, nie nadąza.

VII.

Zwyczajnym rzeczy porządkiem w tym wodnym kraju, wśród żniw przyszedł okres deszczowy, przeplatany różnymi chłopskimi świętami i zahamował robotę.

W Nietroni, przy zaciekłości Białozorów, ratowano się własnymi siłami przed nieróbstwem i zabobonami Poleszuków. W różne „przyświęta” — o cudacznych nazwach „Palikopy”, „Makawaja” itp. — byle była pogoda, chwytano z pola, co się dało. Mężczyźni zwozili, kobiety: Ida, ciotka, Terka ładowały w stodole. Dziad Kajetan miał miodobranie.

W ten sposób uratowano żyto, ale na owsy zżęte przysłała ulewna trzydniówka i zmusiła ich do spoczynku.

Wtedy to zjawił się niespodziewanie szofer Sawieki. Znalazł „dwóch Michałów” przy reperacji chomontów, przywitał się z widoczną życzliwością i zaczął im pomagać. Okazało się, że w wojnę i tego się nauczył.

— Nie zawsze można było ukraść i zagrabić, czasem trzeba było samemu narządzić — rzekł.

Przyszedł — i został. Poszedł na nocleg do szopy z sianem i nazajutrz przy śniadaniu zaczął swą sprawę do Białozora.

— Bo pan mnie obraził wtedy na odchodnym, ale ja się uparłem i jednak panu tę starą młockarnię wyrychtuję. Mam już swoje narzędzia, a oto list i świadectwo z Łucy. Skończyłem tam robotę, zarobiłem — niedrogo od pana wezmę. Da mi pan sto złotych, jak maszyna ruszy. Tyle żyta. Gdzie to tą ręczną omłócić. Czysta strata i robocizny, i czasu. Niech mi pan da zarobić.

— A to bestia sprytna! Jak to potrafił wykręcić! — pomyślał pan Michał.

— Ano — niech pan kleci! — stęknął Białozor. — Ale kuźni nie mam, ani węgla, ani pomocnika!

— To już moja rzecz. Niech pan o tym nie myśli.

— A cóż się w Łucy dzieje?

— Tam też dobrzy ludzie. Pan Jelec, i Kulesze, i stary Suhak, kowal. Owszem, dobrze mi i tam było. Ale samochodów już nie ma.

— Co. Sprzedał?

— Wszystkie trzy. Ostatni odstawiłem wczoraj do hrabskiej administracji.

Białozor i Ida zamienili spojrzenia i uśmiech. Korzystając ze słoty, Sawicki dostał do pomocy fernali, wyciągnięto na światło graty i zabrał się zaraz do roboty.

— Będzie chodziła jak zegarek! — oświadczył po oględzinach.

W kącie stodoły urządził sobie warsztat, znalazły się narzędzia, jakieś chłopaki ze wsi do pomocy — o nic nie prosił, ani pytał, coś zdobywał w starym żelastwie, po coś chodził do miasteczka, miał jakieś konszachty z chłopami i był w doskonałym humorze. Po jakimś czasie zjawił się stary Suhak z Łucy, niby w odwiedzinach do córki Ohryzkowej i został na dni parę. Nie wiadomo skąd wycyganili skądś starą, połową kuźnię, zabytek wojenny, zdobyli do niej węgla i majstrowali we dwóch. Zawsze też można było tam zastać jakichś chłopów, gapiących się ciekawie i w potrzebie spełniających proste i ciężkie roboty, przesuwania lub ustawiania żelaznych części. Nikt się temu bardzo nie dziwił, znając amatorstwo* Poleszuka do każdej maszynierii i próżniaczenia, o ile się da, tylko gotowość do ciężkiej pomocy była zagadkowa.

* Amatorstwo — tutaj: zamiłowanie, zainteresowanie.

Szofer komenderował nimi, jak najemnikami, i posłuch miał bajeczny — Ustawiono kierat, dopasowano młockarnię. Do wykończenia został Sawicki sam — piłował, pasował, stukał, kuł, przymierzał, próbował. Na warsztacie było mnóstwo małych i delikatnych części, których strzegł, nie pozwalając nikomu nic ruszać — nawet oglądać. Wieczorami chodził na wieś, gdzie widocznie miał już stosunki.

— Chłopy pana słuchają jakby znachora! — rzekł mu kiedyś pan Michał.

— Na każdego głupca jest sposób! — odparł ze śmiechem. — Robię już dziesiąte sidło na kuny.

— Jak to? I skuteczne?

— Albo ja wiem. Teraz latem nie zastawią, bo skórki złe, a zimą już mnie tu nie będzie. Jak się trochę za to pofatygują — to im nic nie zaszkodzi. A co innego sidło — jak loteria? A loterię i państwo urządza. A państwo przecie to dla nas wzór! Czy nie?

Ruszył ramionami pan Michał.

— A strzelb im pan nie robi?

— Mógłbym — wszystko zrobię — od tartaku do zapalniczki. Ale chłop bardziej na żelaza i sidła chciwy niż na broń, bo do strzelby trzeba chociażby proch dokupić, a grosza nie lubi wydawać, choćby go ukradł. Zresztą w tym kraju chłopom robić strzelby — niedobra robota. Nie wiadomo na kogo użyć mogą, jeśli się tu porządek nie zmieni. A broni i tak u nich nie brak — ukryli z wojny. Tutaj, broń Boże, ruchawki — pójda na pierwszy ogień osadnicy, potem dwory.

— No — i urzędnicy!

— Byliby głupi czekać — oni pierwsi zwieją! Ich tu nic nie więzi. Wolne ptaki. Będzie siedział w biurze pod Kaliszem czy Poznaniem, czy w Rzeszowie. Urzędnik, panie, nie ma ojczyzny. Jemu wszystko jedno, gdzie jest i co robi. Mnie się zdaje, że urzędnik to nawet duszy mieć nie może. Bo czy może mieć duszę maszyna do pisania!

— O duszy w ogóle mało ludzi ma pojęcie — odparł pan Michał — i jakoś się bez tego obchodzą.

— Nawet łatwiej jak bez pieniędzy w kieszeni. Ale, czy to prawda, że pan Jelec wybiera się do Afryki?

— Murzyna myśli bielić, czy mały łapać!

— Nie wiem, co się zdarzy. Mówił mi, że w listopadzie wyjeżdża.

— Pewnie dlatego, że nie ma futra na zimę.

— Ja bym z nim pojechał. Tutaj mi ciasno i nudno.

Pan Michał popatrzył nań uważnie. Pochylony nad imadłem polerował jakiś mały tryb. Jego sucha, zorana bruzdami ciężkiej doli twarz miała wyraz twardej woli i zuchwalstwa.

— Jedź pan! — wyrwało się mu mimo woli, jakby odkrycie. Dobry byłby to kompan dla lekkomyślnika, fantasty i... Nie dokończył myśli, bo ją wyraził krócej i dosadniej szofer:

— Pan Jelec zdrow, młody, sprytny, obrotny i wesół — tylko za honorowy. Z tym między ludźmi się nie przepchasz. Teraz nie pańskie, a chamskie panowanie.

— A pan się za chama uznaje?

— Rozumie się.

— To dlaczego pan tu wrócił i za półdarmo pracuje nad tymi gratami?

Sawicki chwilę się zawahał:

— Pan myśli, że przez honorność chcę się przysłużyć za dogład i gościnę. Bzdury. Ja, panie, patrzeć nie mogę na popsutą maszynę, żeby jej do ładu nie doprowadzić. Takie mam amatorstwo do majsterki — i tyle.

Zaśmiał się pan Michał, wyjrzał na deszcz i rzekł zmieniając temat.

— Michaś nie śmie prosić, ale rad by przy panu też skorzystać! Póki słota, niechby się przyglądał i choć narzędzia podawał. Ja pójdę do Konotopu Protasewiczów.

— Kawał drogi. Ja już i tam byłem z maszyną.

— Co? Kupili od Jelca?

— Tatrę. Chcieli mnie zgodzić, ale mi się tam nie spodobało. A chłopaka swego niech pan przyśle. To dobre dziecko!

— A coż się panu nie podobało u Protasewiczów? Bogaty dwór i wesoły!

— Za wiele naczalstwa tam bywa, a ja za długo żołdatem byłem. Zmierziło mi się. Ale na robotę tam się zgłoszę, jak tu skończę. Panicze Tatrę rozbiją prędko, ganiając z tą jakąś piękną panią, co zjechała na wakacje. Do listopada tu niedaleko kręcić się będę, a jak pan Jelec się nie rozmyśli — to zbiorę na drogę do Afryki i przyczepię się do niego. Języki zna — to grunt.

— Żebyście tam nie zaczęli tęsknić za powrotem tutaj.

— Ja, nie! Dogodzili mi tu do syta!

Zaczął z pasją manipulować pilnikiem. Nadchodził nań paroksyzm wściekłości i nienawiści.

Pan Michał ubrał się w grubą, samodziałową kurtę, długie buty, skórzaną czapkę, na plecy zarzucił starą derkę i ruszył pieszo do Konotopu, nie dbając o deszcz.

Gdy tak szedł prostując sobie drogę polami i znanymi sobie przesmykami wśród błot, przypomniawszy się mu męczeńska wędrówka przez pół Sybiru i całą Rosję bolszewicką i duszę miał pełną wdzięczności do Boga, że go skrzepił, zratował setki razy i doprowadził do gniazda.

A Bóg, jak zwykł, mądrze pokierował, bo teraz pan Michał wszystko znajdował dobrym, i niedostatek w tym gnieździe, i twardy trud fizyczny, i brak wygód i kulturalnych potrzeb, i towarzystwa, wszystko było niczym, w porównaniu do tamtej męki i tamtej tęsknoty.

Nie znalazł tego ideału ojczyzny, który miał w duszy — ale znalazł swoje Polesie. Piaski i bagna, lasy i wody, smętek nieba i ziemi — ciszę i pustkę bezkresnych obszarów. W ludziach, zwierzu i roślinie żyły tu jeszcze resztki wolności pierwotnej, był tu jeszcze jaki taki schron wolnej woli i swobody. Idąc lekko i prędko, krokiem myśliwca i włóczęgi, pan Michał to powtarzał w myśli jakieś słowa modlitwy, to pogwizdywał stare melodie młodzieńczych piosenek i był szczęśliwy ze swej doli. Szedł przecie na wielki bal!

Co lata zjeżdżał ze Lwowa profesor Szczytt, brat Protasewiczowej, na wakacyjne wywczasy, przyrodnik, ornitolog. Pasowali do siebie, jakby mieli bliźniacze dusze. Należał do nich cały boży świat, a oni do niego. O szósty dzień stworzenia troszczyli się najmniej i nie mówili wcale.

Pan Michał przez rok cały studiował faunę i florę Polesia, zimą porządkował swe notatki i przedstawiał rezultat profesorowi. Profesor przywoził mu książki i broszury, wyniki nowych badań i odkryć.

Konotop Protasewiczów leżał opodal od gościńca i dzięki temu nie został przez cofających się Rosjan spalony. Podczas okupacji niemieckiej stały tam sztaby i obchodziły się dość względnie z rodziną właścicieli — przejściowy okres anarchii przed przyjściem wojsk polskich spędzali w Warszawie i w rezultacie najmniej ucierpieli materialnie i finansowo, mieli się najlepiej z całej okolicy.

Protasewicz był oportunistą i potrafił się dostosować do wszelkich rządów. Nie miał zatargów z władzami rosyjskimi, za okupacji niemieckiej był wójtem — obecnie zasiadał w różnych powiatowych, gminnych i wojewódzkich komitetach, znał wszystkie urzędy, w domu gościł i sprawiał polowania dygnitarzom; zresztą życie spędzał w ciągłych jazdach i sprawach publicznych. W domu było rojnie i wesoło — bawiła się pani, dwie córki, dwóch synów, nie przebierali towarzystwa i przy częstej zmianie urzędników mieli urozmaicenie.

Na pół drogi z Nietroni deszcz ustał i pan Michał rozejrzał się z pagórka szerzej na okolicę, bo i wiatr począł tuman rozpędzać.

Po obu stronach drogi ukazały się rozrzucone dość bezładnie budynki osad folwarku, który Protasewicz oddał na wojskowe osadnictwo. Były bardzo rozmaite: porządne domki, i ziemianki, budy z chrustu i obórki drewniane, zaczątki sadów i płotów, i stopy budulca.

Opodal — wieś wyciągała swe długie linie skupionych chat z drogą pośrodku.

— Mrowie idzie na mrowie! — pomyślał pan Michał. — Ciekawość, kto przetrzyma. Myśmy tak przed wiekami zaczynali. Wschód i zachód! Niech pokażą swą siłę. Ciężki trud przed nimi, byle wytrwali!

Przy drodze młody mężczyzna spuszczał wodę z warzywnika. Kopał zajadle rowek w ciemnym błocie.

— Pomagaj Boże! — pozdrowił pan Michał. Osadnik coś odburknął niewyraźnie.

— Z Kieleckiego na Polesiu to wydaje się za wiele wody i błota!

— A pan skąd wie, że ja z Kieleckiego? — Przestał kopać i spojrzał na niego osadnik.

— Takem zgadł z twarzy i z niecierpliwości.

— A pan co? Za posadą wędruje?

— Nie. Ja już tu mam posadę od wieków. Mnie swoje to błoto i woda, ale nowo przybyłemu, na początku, bywa niemiło. Już pana dzieci się oswoją i przywykną, a wnuki tak będą kochać, jak my kochamy.

— To pan kto?

— Polak tutejszy — starodawny.

— Obszarnik. A skąd?

— Z Nietroni. Też osadnik niegdyś!

— Hale! Trochę większe były działki wtedy.

— Królewska była ręka, a ziemi pustej nie brakło.

— Królewskie łapy lizali, a ziemię chłopem orali.

— Jakby pan przy tym był, tak sąd trafny. A teraz na małe działki trza małe ręce ścisnąć, i samemu orać. Skapcianił świat.

— A obszarników лихо wzięło.

— Po co pan swemu stanowi urąga. Obszarników przecie zastąpili osadnicy. Przecie wam za służbę tu ziemię dali, byście tu Polskę utrzymali. Szczęść wam Boże w tej pracy — i daj tyle wieków trwania, ile tej szlachcie tutejszej.

— A pan jak się nazywa?

— Białożor, Michał. A pan?

— Zawiślak Szczepan.

Pan Michał sekundę pomyślał — coś sobie przypomniał.

— Miał pan w wojsku kolegę Sawickiego Stefana?

— Miałem. Morowy chłop był. Razemśmy umkli Mochom^{*}. A pan go zna?

— Znam.

— Gdzie jest?

— W Nietroni właśnie, czasowo.

— A daleko to? Dwór?

— Dwór. Od Zahosta w bok — kilka kilometrów.

— A to go czart zaniósł w to Polesie zatracone. Dostał osadę?

— Nie. Toćby do dworu nie zajrzał — zaśmiał się pan Michał, zabierając się w dalszą drogę. Osadnik popatrzył za nim, ramionami wzruszył.

— Pan, psia mać. Kpiny stroi — mruknął i splunął za nim. Tymczasem dwór Protasewiczów rozłożył się szeroko za wsią,

zabudowany dostatnio, osadzony, ogrodzony — przed oczami wędrowca uradowanymi, że nie patrzą na pustkę i ruinę.

* Mochom — Moskalom — pog. nazwa Rosjan.

Wkroczył pan Michał w kasztanową wysadę i przed pięknym domem ujrzał na trawniku w wygodnym trzcinowym fotelu zaczytanego profesora Szczytta we własnej osobie. Psy podniosły alarm na obcego, więc profesor oczy od książki oderwał.

— *Aquila albicilla!* — zawołał radośnie.

— Do usług! — odparł pan Michał.

Uścisnęli sobie szybko prawice.

— Wyglądam cię i wyglądam. Chciałem już sam do was jechać. Cóż słyhać ciekawego?

— Znalazłem cmentarzysko wojenne. Pięć sypanych kurhanów. Możemy rozkopać. I wycygałem od chłopca cały worek starych ksiąg i papierów zrabowanych z jakiejś starej, unickiej cerkwi.

— Przyniosłeś?

— Parę w zanadrzu. Boję się, że przemokły.

— Prawda. Zmokłeś. Chodź do mnie. Każę zapalić w kominie. Jeszcze zawsze wędrujesz piechotą?

— Mam nadzieję, że na rok przyszedł już przystąpię do kawalerii.

— Dźwigacie się na przykład wszystkim.

— No, chyba nie twoim. U tych biedy nie czuć.

— No pewnie, pewnie! Ale za wiele i tu tych weksli, terminów i jazd za interesami. Ja ich mało co widuję, a chłopcy zupełnie sfiksowani na tle samochodowych wyścigów. Dziś nikogo nie ma — wszyscy u Horniczów na jakichś sportach.

Rozsiedli się w pokoju profesora i pan Michał u ognia na kominie suszył swą odzież, patrząc z uśmiechem na uczonego, który wglębił się w odczytywanie cyrylicy starego dokumentu.

— To akt erekcji* cerkwi w Łucy fundacji Symeona Jelca — oznajmił — roku pańskiego 1473. Ciekawe, ciekawe. Warte wagi złota.

Pan Michał począł szperać na stole, znalazł dla siebie jakieś ornitologiczne dzieło i przez parę godzin nie zamienili ze sobą ani słowa.

Rozkosz ich spłoszył sygnał samochodu i rejwach w domu. Dwie maszyny wyrzuciły ze siebie rozbawione, śmiejące, rozgadane towarzystwo.

I po chwili weszła Protasewiczowa.

— Ach, witam miłego a rzadkiego gościa — wołała bardzo serdecznie. — Ręczę, że Alojzy ani pomyślał, że pan pewnie bez obiadu.

— A nie! — przyznał najspokojniej profesor. Ale przecie mógł powiedzieć, że jest głodny. Głodnyś, Michale?

— Co prawda i ja o tym nie pomyślałem. Niech się pani Iza nie martwi.

— Każę przyspieszyć kolację. Cóż u was słyhać? Jak zdrowie? Jak interesy? Może Ida za mąż idzie?

— Co prawda, u nas najbardziej słyhać gawrony, a Ida wśród swych rozlicznych zajęć dotąd nie znalazła czasu na zamążpójście. Interesy zaś pewnie jak u wszystkich. Oziminy zwiezione, owies moknie.

— U nas jeszcze i żyto moknie, a u Horniczów owsa żać nie zaczęli, a stogi siana stoją do pół w wodzie. Tak Stubło wylało.

— Co to znaczy dla Hornicza.

— No, pewnie. Podobno sprzedał znowu lasu za 20000 dolarów. Ale, wie pan, podobno panna sama się oświadczyła Jelcowi.

— Będzie weselisko! I będą używali rajdów samochodowych. Oboje to lubią.

* Akt erekcji — dokument wiązany z założeniem lub ufundowaniem budowli.

— Ale go dziś tam nie było. Wszyscy byli bardzo zdziwieni. Ktoś mówił, że został wezwany przez wojewodę w jakiejś bardzo ważnej sprawie. Nie słyszał pan?

— Od dawna u nas nie był.

— Dziwne o nim chodzą wieści. Podobno wybiera się z Wiesztorpem do Afryki polować na lwy.

— Tyle lat strzelał baki, więc się wprawił w strzelaniu — odparł pan Michał spokojnie.

— Widzę, że jest w niełasce u was — zaśmiała się Protasewiczowa wychodząc.

Po chwili zajechał przed dom powóz, z którego wysiadł gospodarz domu i gdy wezwano na kolację, zebrało się w jadalni całe towarzystwo. Panu Michałowi wyznaczono miejsce przy kuzynce, która była ostatnim słowem mody, urody i sztuki, i która patrzyła na niego jak na jakiś okaz prymitywu Polesia.

Zaczęła się ożywiona rozmowa.

Protasewicz wracał z jakichś posiedzeń wojewódzkich pełen swej powagi i wielkości stanowiska.

— Powiem ci dobrą nowinę — zwrócił się do pana Michała. — Wyrobiłem posadę dla Nieumierszyckiego — w Wydziale Statystycznym. Będzie miał 400 złotych, na początek.

— Nie słyszał ojciec coś nowego o kredycie inwestycyjnym? — spytał starszy syn, Jan, który gospodarzył niby na osobnym folwarku, posagowym matki.

— Przyznano 30 tysięcy.

A młodszy, Józef, roześmiał się.

— Pilno ci? Śpiesz się, bo rozdrapią.

— Tam Stublicki, mój żyrant*, pilnuje.

— A wie pan, panie Białozor, że będziecie mieli wesele w sąsiedztwie! — zaśmiała się starsza panna, Fela, równie nowoczesna jak kuzynka.

— Nie wiem! — odparł pan Michał.

— Wychodzi za mąż pani Bohuszowa z Moroczny.

— Co ty prawisz, Fela! — zdziwiła się matka.

— Słyszałam u Horniczów, na pewno.

— Za kogo?

— Za pana Wyporka.

— Co? Kto to?

— Sekwestrator*. Co tydzień u niej bywa.

Śmiech gruchnął wkoło stołu. Nie śmiał się tylko pan Michał, a profesor się odezwał:

— Kto mniema, żeby stał — niech patrzy, aby nie upadł. Kredyt jak woda — można pić, ale można i utopić się.

— A jeśli się jest rybą — to go czapla połknie — dodał pan Michał.

— Jak to? Czapla? Co ten ptak ma do kredytu? — spytała kuzynka ze śmiechem.

— Kredyt jest pułapką dla łakomych. Taka czapla staje w płytkich ruczajach cierpliwa, mądra i nie lubiąca fatygi. Stoi — drzemie i czeka na łakomych. Co jakiś czas wstrząsa się jakby dreszczem i wtedy z piór jej sypie się biały pył. Są to drobnutkie blaszki tłuszczu; padają w wodę i płyną z prądem. Ryby żerują pod prąd, a bardzo są na te blaszki łakome. Biorą, cieszą się chwilową sytością — i kończą w gardle bankiera.

— Jak pan to podpatrzył! — zdziwiła się kuzynka.

— Ano — nie mamy teatru, kina, filharmonii, dansingu, gazet, karnawału, towarzystwa, więc się gapi, słucha, bawi, uczy — otoczeniem — za darmo. Można w tej szkole wiele skorzystać.

— I tytuł zdobyć roroga — zaśmiał się Protasewicz.

* Żyrant — poręczyciel, osoba poręczająca za kogoś spłatę sumy wekslowej.

* Sekwestrator — dzisiaj: komornik.

Kuzynka spojrzała przerażona, jak gość przyjmie to urągliwe przezwisko, ale pan Michał wyglądał zupełnie zadowolony.

— Pani nie rozumie. Raróg to stara łowiecka nazwa pewnych ptaków z rodziny orłów i sokołów. Były i są bardzo rzadkie i zwano je *rara avis* po łacinie. Zrobiło się z tego „raróg” — nawet niekiedy „dziwok”. Nasze nazwisko jest Białozor — naukowo: orzeł bielik. Więc słusznie należy się nam przezwisko raroga.

Skłonił się w stronę Protasewicza, a że właśnie wstawano od stołu, pożegnał się z gospodynią i całym towarzystwem, gdyż miał o świcie wracać!

— Na piechotę — zaśmiał się Józef — my jutro robimy wycieczkę do Białowieży — dostawimy pana do Nietroni w pół godziny. To po drodze.

— Dziękuję — ale mam pasję do sportu pieszego — i tylko złej organizacji i własnej głupocie winienem, że nie zdobyłem czempionatu w czasie wędrówki Tomsk — Nietron. Dobranoc państwu i przyjemnej wycieczki.

Gdy odeszli z profesorem, tamci resztę wieczoru zabawiali się żartami i opowieściami o cudactwach i wariacjach Białozorów, aż wreszcie Protasewicz zakończył:

— Jak pamiętam, wiecznie Białozory odludki i po swojemu rządzą. Teraz zdziczeli do szczytu. Nie poczuwają się do żadnych sąsiedzkich ani obywatelskich obowiązków i źle są w ogóle widziani. Stary ród — degeneraty!

Profesor z panem Michałem rozprawiali do późnej nocy — ustalili dzień wycieczki do owego cmentarzyska, nacieszyli się sobą wzajemnie i ledwie świt pan Michał ruszył z powrotem pozostawiając pałacowych mieszkańców w głębokim śnie.

Rozpogodziło się niebo, słońce wytoczyło się promienne, pociągał rzeźwy wiatr, pan Michał pogwizdywał z uciechy i spieszył myśląc, że tam w domu do roboty potrzebny. Cisza była skłonu lata i oto wpadł mu do uszu dziwny odgłos — monotony, równy, ni to huk, ni to szum, ni to muzyka. Staął, rozejrzał się całą uwagę w słuchu skupił i nagle zrozumiał i rozpromienił się.

— To u nas. Maszyna idzie! Młóć!

I stał zasłuchany. Stały mu w pamięci długie zimy, gdy brat spędzał miesiące, dozorując żmudnej pracy najemnych cepów, gdy wieczorem zbierali ziarno i przenosili z toku* do tymczasowego spichrza w pustym czworaku, jak potem zdobyli się na ręczną młockarnię, którą często sami kręcili, gdy nie było pieniędzy na najem.

Wiele takich zim i ile w tych zimach takich dni mroźnych, śnieżnych, wietrznych, w tym mozole pierwotnym — o chleb!

Ogarnęła go bezmierna radość, triumf, wdzięczność, poruszyły się usta, rozpromieniły oczy w niebo zapatrzone, a potem ruszył żywo, coraz prędzej — na ten sygnał, na to wołanie coraz donośniejsze.

I oto był ze swymi — w wirze roboty.

Białozor osobiście podawał żyto w cepy. Michaś rozwiązywał mu snopy. Ida odrzucała słomę, Terka wysuwała ziarno, wuj Kajetan i Gabryk zrzucali snopy z zapola, parobcy składali stertę słomy. Semko poganiał konie w kieracie, a wśród wałów, trybów, przekładni kręcił się osmolony Sawicki, z oliwiarką i kluczem od śrub. A wszystkim błyskały zęby w uśmiechu twarzy spoconych i zakurzonych.

Pan Michał porwał widły i już podawał słomę na stertę.

— A co? Idzie jak zegarek! — krzyknął mu Sawicki, słuchając głosu maszyny jak muzyki.

— Daj wam Boże, co najlepsze za to! Skończona zimowa męka!

— Słyszysz pan jak woła: daj, daj, daj, nie stój, nie stój! A po obiedzie i wialnia ruszy, terkocząc: rada baba gościom, rada baba gościom!

* Tok — klepisko w stodole.

I dosłyszawszy jakiś nieczysty ton, wybiegł do kieratu. Od wsi nadbiegło kilku chłopców — zwykłe gapie, próżniaki. Szturgali się łokciami.

— Baczysz! Znowu maszynę mają! Czort Lacha nigdy nie weźmie!

Wreszcie zatrzymano zmęczone konie i zgłodniali, zmęczeni, rozpromienieni ludzie napełnili gwarem jadalnię. Białożor bez słowa uściśnął prawicę szofera, dzieci cisnęły się do niego, podając wodę, mydło, ręcznik, a on trochę zmieszany rzekł do Białożora:

— Ot widzi pan. Trza i chama czasami posłuchać, i włóczędze dać zarobić.

— Niech pan je, a bredni nie prawi! — ofuknęła go Ida.

— Cóż słyhać w Konotopie, profesor zdrów? Żniwa skończyli? — spytał Białożor.

— Zdrów. Będzie tu w niedzielę i popłyniemy na Horby. Ale wie pan — poznałem po drodze pana kolegę z wojska. Szczepan Zawisłak. — Pan Michał zwrócił się do Sawickiego.

— A ten tu co pokazuje?

— Ma osadę w Konotopie.

— Zawsze był ciężko głupi. Dał się nabrać, idiota.

— On właśnie nietęgę ma o panu pojęcie, że pan pracuje po dworach — zamiast mieć własną ziemię.

— Obywatel na dziesięciu morgach, dureń. Pewnie u niego zarobek znajdę — narządę maszynę — pułpkę na myszy. Widziałem ten pęd na te osady, a jakże pchało się i tratowało to bractwo, kto żył: blacharze, cyruliki, woźni, farbiarze i takie zupełne nieroby. Co to — powiadają — darmo dają ziemię, panować będziemy, jeść, pić, nic nie robić, jako szlachta hulać! Mnie, żeby mi pan tę całą Nietroń podarował, to bym nie wziął, a nie głupią osadę, co ją można nawozem od trzech kaczek wygnoić, a kozą zaorać. Durnie są i w pańszczyźniane poszli, choć się to inaczej nazywa! Nie ma gorszego nabytku, jak za darmo!

Spojrzał w okno usłyszawszy tupot konia.

— A co tu robi łysa kobyła pana Kuleszy z Łuczy? — zawołał. Obejrzeli się wszyscy — na prugu stanął Jelec.

— Dobrze południe! — pozdrowił wesoło. — Tom trafił znakomicie, bom głodny. — Przywitał wszystkich i ulokował się obok Idy.

— Skądże cię bogi niosą? — zagadnął pan Michał. — Słyszałem, że cię czekano na próżno u Horniczów.

— Aha — był wuj w Konotopie! I panna mi się sama oświadczyła, i Bohuszowa idzie za mąż za Wyporka?

— I Nieumierszycki dostał posadę!

— A właśnie to ostatnie jest prawdą! Wyobraźcie sobie — dostał! Będzie swym pesymizmem truć powietrze w województwie.

— A coś niecoś z kredytu inwestycyjnego połknąłeś?

— A po co? Kiedy się mam żenić z Horniczówną.

— To pan już do Afryki nie jedzie? — spytał Sawicki.

— Ale jedzie, jedzie! Z hrabią Wiesztorpem, polować na lwy i hipopotamy!

— Wuj nafaszerowany wiadomościami z Konotopu. Ale czekam najważniejszej! Że jestem pod zarzutem pastwienia się nad dziećmi i mordu niewiniątek ukraińskich.

Nawet Białożor i Ida spojrzeli na niego.

— A tak. Była w sejmie interpelacja klubu ukraińskiego, w której z imienia i nazwiska jestem oskarżony. Byłem już wzywany w tej sprawie do województwa.

Było coś tak absurdalnego w zestawieniu wesołego, łagodnego Jelca z „mordem i pastwieniem”, że Ida wzruszyła ramionami, a Białożor wstał od stołu i sięgnął po czapkę.

— Chodźmy do roboty! — zawołał.

— Idę i ja — tylko głód zaspokoję. Michasiu, bracie, puść łysą na pastewnik*.

* Pastewnik — pastwisko.

Zostali z nim pan Michał i Sawicki.

— Opowiadaj!

— Ano! Stoi wyraźnie w interpelacji, że obszarnek z Polesia, Antoni Jelec, za jakąś niewinną swawolę małoletniego chłopaka do krwi bił, a potem w bestialski sposób się znęcał, w rany sypiąc tłuczone szkło, wskutek czego...

— Faraon! — przerwał mu okrzyk Sawickiego i wybuch śmiechu. — Faraon Woszczenko, syn Klima Zajca. To za mnie pan pokutuje. Ot, tak się tworzy historia. Zaraz panu opowiem, a potem złożę policyjny raport, a jak to za mało — jadę do samego ministra. Było tak. Dałem jakiemuś chłopcu ze wsi trzy złote, żeby mi przyniósł wódki. Rozumie się — ukradł i przepadł. Aż oto wśród gapiów przy garażu — poznaję go. Gdzie wódka? — pytam. Zaczyna się zaklinać na ojca, matkę, na Boga i wszystkich świętych, że kupił, że niósł, ale się na grobli potknął i wódka się wylała! No, dobrze! — powiadam — to mi przynieś butelkę — bo cię do policji zaskarżę. Przynosi, bestia, brudną, starą butelkę od nafty. Więc go przegnałem precz i cisnąłem za nim tę butelkę, a żem wprawny w rzucaniu granatów, trafiłem gdzieś celował — w pośladek. Musiało mu się coś przylepić, bo wrzasnął i zwiął. To jest cała prawda tej sejmowej chryi. Świadczył był Suhak — kowal. Potwierdzi.

— Skądże to aż do sejmu doszło?

— Ja i to wyjaśnię. To pewno Kutas napisał.

— Co za Kutas znowu?

— Nauczyciel z Łuczy. Pan go nie zna? Taki ryżawy elegant. Wyzwoleniec. On pisuje do gazet ludowych i podania chłopom, i skargi do urzędów i na urzędy. Czynny bardzo człowiek stronnictwa i działacz kresowy! A dlaczego to napisał też rozumiem.

Zaśmiał się i obejrzał, czy są sami w jadalni.

— W Łuczy ludzie chorują na grypę. Wie pan?

— Na grypę? Aa — na Grypę! rozumiem! — odparł ze śmiechem Jelec — i pan był w tej epidemii!

— I Kutas. Tylko, że grypa trzymała się mocno mnie, a zaniedbywała Kutasa. Są takie zarazy, co na nie ludzie radzi zapadają.

— Więc złość na grypę, złość na obszarnika, co trzyma szofera i jeździ samochodami i gotowe podanie do klubu ukraińskiego, czy do lewicowej gazety. A dalej niech się tłumaczą, wyjaśniają, bronią — Kutas swoje zrobił.

— Tfu! — splunął pan Michał.

W tej chwili wpadła zdyszana Terka:

— Stryjku, Łazik przyszedł na obiad! Antosiu, Ida prosi, żebyś ją przy wialni zastąpił, bo musi wydawać kupcom ogórki. Ach co żyta! płynie jak woda! Jaki pan dobry, jaki mądry, jaki drogi.

— Żebyś wiedziała, że Ida nie prosi, ale każe — zerwał się Jelec i omal się nie potknął na borsuku, który coś mając po swojemu toczył się do pana Michała.

A Terka porwała Sawickiego za rękę i pobiegli na gumno. Pan Michał karmił swego wychowańca i dogadywał:

— Ty Łaziku, ty wałęgo*, ty beczko smalcu! Nie mogłeś to przyjść przywitać się, gdy wróciłem!

Tłuściak ze łbem wnurzonym w misę jadła mamrotał.

— Terkocą! Skweres, hałas, kurz! Nie lubię! nie lubię! Smaczne, smaczne!

Wieczorem, gdy zsypano do spichrza potok srebrnego żyta, spożyto wieczerzę, opłacono najemnika, Białożor zawołał do siebie Jelca, brata, Idę i Sawickiego, i powtórzono mu sprawę sejmowej interpelacji.

— Cóż myślisz dalej z tym robić? — spytał Jelca.

* Wałęga (reg.) — włóczęga.

— Proszę pana, ja zawiniłem — ja załatwię — wyrwał się szofer. — Pan Jelec co by nie zrobił, to przeciw niemu obróć i jeszcze gorzej osmarują. Zaczepi Kutasa — napiszą, że się pastwi nad przedstawicielem nauczycielstwa polskiego i nad ubogim inteligentem. Będzie miał drugą interpelację od ludowego stronnictwa. Dajcie spokój. Ja dam radę.

— Ma pan rację! — przyznał Białożor.

— No to dobranoc państwu — i do widzenia. Pójdę za robotą, a potem się dowiem, co z tą Afryką ma być!

Gdy wyszedł, pan Michał rzekł:

— On chce z tobą jechać i moim zdaniem byłby to dla ciebie dobry kompan.

— Trwasz w zamiarze? — spytała Ida.

— Tak. Myślę, że po Nowym Roku będę gotów. Większość długów już spłaciłem, a po tej ostatniej sprawie do reszty nabrałem do naszych warunków i stosunków wstrętu. Żeby lada chłystek mógł łągać i wymyślać, co mu się podoba — bezkarnie — i szargać mi nazwisko i honor! A toć w tym kraju nieszczęsnym ludzie jednej mowy i wiary nienawidzą się jak najgorsze wrogi! Z rozkoszą się niszczą, cieszą się nieszczęściem, obmawiają, krzywdzą, wyzyskują, podlą! Tu jest istne piekło!

— Tam — niewielu znajdziesz lepszych — i takąż drapieżną walkę o byt! — rzekł Białożor.

— Ale to obcy będą, więc mi za nich nie będzie tak wstyd i nie będę tak upokorzony.

— I tam między mówiącymi po francusku — niewielu znajdziesz patriotów Francuzów — i między ochrzczonymi niewielu chrześcijan! — dodał pan Michał.

— A tutaj nie sam jesteś. Porachuj druhów i dobrych, i życzliwych, wiernych! — szepnęła Ida.

Zamilkł, spuścił głowę, rękę jej objął i zapanowała cisza.

— Nie patrz na życie jak na kroplę wody przez mikroskop — patrz na tę kroplę przez słońce — będzie tęcza! — rzekł pan Michał.

— Wybrnąłeś z błota na drogę; zmęczonyś tym szamotaniem. Skrzepisz się, otrząśniesz, szlak zobaczysz, cel, kierunek i coraz łatwiej pójdziesz. Przecie my z tobą! — zakończył Białożor, kładąc mu rękę na głowie.

Jelec rękę tę ujął — i pocałował.

A Ida wstała, by odejść, spojrzała na niego, objęła jego głowę dłońmi i pocałowała go w oczy, i prędko wyszła, czując na ustach słoność łez.

VIII.

Jelec zabrał z majątku jednego konia i przepadł bez wieści, a na Łuczę tymczasem spadła powódź nieszczęść i awantur. Kuleszowie nie mogli sobie dać rady, a nie wiedzieli, gdzie go szukać po świecie, myśleli, że przychodzi na nich koniec świata. Więc, gdy wreszcie po dziesięciu dniach ukazała się w bramie łysa kobyła, wypadli i oni, i Bućko, i Suhak, i obstąpili go, recytując wszelkie niefortunne wypadki. Najgłośniej wołała Kuleszyna, która go wypiaستowała i pozwalała sobie najśmielej na wymówki.

— Miłosierdzia i litości pan nad nami nad sobą nie ma. Tyle czasu za domem być, a tu Sodoma Gomora.

Jelec był rozpromieniony, jakby wedle rady pana Michała patrzył na życie przez tęczę, więc począł podśpiewywać:

*Nie chodź, Marysiu, do dwora
Bo tam we dworze, pożał się Boże
Bo tam Sodoma, Gomora!*

Kuleszyna ze zgrozy zamilkła; podniósł głos Kulesza.

— W poniedziałek był sekwestrator.

— Dobrze, że nie było kobyły — boby ją opisał.

— Ale opisał żyto w stodole, a we wtorek była jakaś komisja, żądając planów do reformy rolnej. Grozili, że drugi raz przybędą z policją.

— A we środę?

— We środę, czwartek i piątek przychodził sołtys z nakazami płatniczymi.

— No, w niedzielę nie było nic?

— W niedzielę pani zaczęła rodzić. Nająłem furę, aż do Zahosta po doktora.

— I są bliźnięta! — Śliczne dwie dziewczynki — ucieszyła się Kuleszyna.

— Na doktora pożyczylem u Icka pięćdziesiąt złotych, na furmankę dziesięć, faktorowi za mamkę piętnaście.

— A w poniedziałek?

— W poniedziałek był wójt z nakazem 10 złotych kary od starosty,

Sekwestrator — urzędnik egzekwujący zaległe podatki i opłaty, dzisiaj komornik, za niezapłacone ubezpieczenie od wypadków. A we wtorek był inżynier od kanałów, że na nas wypada 5000 metrów kopać albo zapłacić.

— Dużo jeszcze tego będzie?

— Oj było! Straszna awantura na wsi w szkole, z naszą Grypą. Chłopi zbierają się przyjść do pana gospodarza. I policja też.

Jelec zeskoczył z konia.

— Dajcie mi, nianiu, co zjeść. Diabelnie trzęsie ta łysa. Pani już wstała?

— Co też pan mówi! Pięć dni po połogu!

— Myślałem, że przy tej wyprawie, którą ma, to już żadna fatyga. Pana nie ma?

— Nie ma. Podobno już w służbie państwowej się znachodzi — powiedział Bućko. — A woły nasze pochorowały się na języki i dwór pod kwarantanną, bo to i Azor się wściekł, więc tablica wisi, że nie można nic wwozić ani wywozić.

Jelec zjadł u Kuleszów jajecznicę i poszedł do siostry. Dom był w zwykłym bezładzie, pełen wrzasku starszych dzieci bez opieki i kilku kobiet, zajętych położnicą i niemowlętami.

— Ty nie masz litości nade mną! — popłakiwała Nieumierszycka. Mogłam skonać tu bez żadnej opieki.

— Skądże miałem wiedzieć, że się właśnie rozsypiesz. Było Edmunda zatrzymać.

— On biedak pracuje na nas, ma obowiązki. Ale ty, jedyny brat! Tak mnie zostawić.

— Czegóż ci trzeba? Jestem.

— Gdzieś był tyle czasu?

— W województwie, w starostwie, w Związku Ziemiaków, w Izbie Skarbowej, w Banku, w Urzędzie Ziemskimi! — recytował jak pacierz, a w duchu się śmiał, dodając: „w rajku byłem, w moim zamkniętym sadzie kwitnym, o którym nikt nie wie!

Przyniósł jej wina, resztki dawnych skarbów ojcowskiej piwnicy, zabawił trochę i znalazł się w swoim pokoju.

Stosy urzędowych papierów zapełniały biurko, popatrzył z nienawiścią i wstrętem, ale się przemógł i rozpoczął przegląd.

Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty — były to nakazy płatnicze: szarwark*, gminny, wyrównawczy, sejmikowy, drogowy, od przedmiotów zbytku.

— Wściekł się wam ten! Nie ma samochodów — zaśmiał się triumfująco.

Piąty był od inspektora pracy, w sprawie Jana Tuzika, który jakoby był pokrzywdzony w obrachunku służbowym.

Odłożył na stronę do rozmowy z Kuleszę, gdyż żadnego Jana Tuzika nie znał, ani pamiętał.

Szósty był z inspektoratu skarbowego, podający w wątpliwość prawdę jego rachunków od podatku dochodowego. Brakło dochodu z domu mieszkalnego, z sadu, a norma dochodu z ziemi była o 15 tysięcy wyższa od jego rachunku. Przeto dochód wynosił o 17 tysięcy więcej.

Jelec patrzył apatycznie na papier. Co roku otrzymywał podobny. Z początku ten zarzut fałszu i oszustwa odczuł jak policzek i energicznie o swój honor się upominał. Omal nie miał sprawy karnej o obrazę urzędnika! Teraz wiedział, że obrażać się nie wolno mu było — a pokornie się tłumaczyć i bronić. W ogóle miał z tym podatkiem corocznie nieporozumienia:

Gdy zjechali Nieumierszyccy i sprawił dla całej rodziny łożka, kołyski itp. sprzęty, a koszt postawił w rozchodzie, dowiedziono mu, że kwota ta należy do przychodu, gdyż majątek jego się powiększył o tę sumę. Gdy kupił wiosną kilkanaście sztuk bydła na wypas — jako rozchód — przestawiono to do dochodu — a gdy je sprzedał — zachowano w rubryce dochodu. Gdy po przyjęciu na utrzymanie siedmiorga Nieumierszyckich nie zapłacił 20 procent kawalerskich — otrzymał ostry monit i nakaz dopłaty. Gdy był nieurodzaj siana lub bydło nie sprzedane z roku na rok — nie przyjmowano jego danych — rachowano „wedle normy”. Gdy się na to zbuntował i w roku następnym zestawienia rachunków nie przysłał, godząc się na „normę”, ukarano go pieniężnie.

Ostatecznie płacił, pożyczając na weksle lub sprzedając, co mógł i miał, za pół darmo.

Inspektorat skarbowy był to piętrowy gmach, w którym pracowało kilkudziesięciu urzędników. Pisali, rachowali, mieli ciężką, nudną pracę.

Musieli żyć, utrzymać żony i dzieci! Było im ciężko, narzekali na biedę. Zatracali w tym zajęciu wszelką inicjatywę, myśl twórczą, rozwój umysłu — stawali się maszyną. Co by było z ich życia, gdyby ich pozbawiono urzędu. I było takich setki tysięcy, i przybywało więcej, w miarę komplikowania spraw i interesów.

Rachmistrze, kontrolerzy, inspektorzy, kierownicy, inżynierzy, nadzorcy, dyrektorzy, sekretarze, naczelnicy, rewidenci, komornicy. Gmina, sejmik, starostwo, województwo, policja, wszędzie gmachy pełne piszących, rachujących i żyjących z poborów.

Trudno, komu sądzono płatnikiem być — ten skazany na płacenie i basta.

Odsunął Jelec papier, sięgnął po następny. Był to cyrkularz* i schemat do sprawozdań Zakładu Ubezpieczeń od wypadków. Z jaką drobiazgowością, skrupulatnością, troskliwością i dbałością o całość i zdrowie pracowników było to sporządzone, jak wnikało we wszelkie rolne prace i otaczało isticie ojcowską opieką.

Ubezpieczonym był każdy i wszyscy — pomocnik w pasiece, członkowie rodziny, użyci do jakiegokolwiek pomocy w pracy, najemnik dzienny, pastuszek gęsi i trzody.

Zastanowić się trzeba było długo, aby wymyśleć, jaki wypadek mógł spotkać pomocnika w pasiece i czy trzeba było meldować i wzywać ratunku, gdy go pszczoła ucięła? I co mogło spotkać babą wiejską przy kopaniu kartofli — w Łuczy na przykład, gdzie dotąd jeszcze używano zakrzywionej gałęzi jako motyki.

Błogosławiona zdobycz socjalna, wzniosła teoria opieki nad pracownikiem.

* Szarwark (z niem.) — obowiązek dostarczania ludzi i sprzętu do robót publicznych nakładany przez państwo na ludność wiejską, praca w ramach tego obowiązku.

* Cyrkularz — okólnik, pismo, zarządzenie okólne.

Jelcowi po przeczytaniu tych wszystkich nakazów i rozkazów zdało się, że głowa rozrosła się mu do rozmiarów oberży, gdzie urządziły sobie schadzki najróżniejsze typy ludzi i gadają, gadają, tłumaczą, radzą, buntują, drwią i tworzą chaos, w którym traci zupełnie rozum.

Po zaczącym filozofie, który mu wyjaśniał skomplikowany system finansowy zetatyzowanego, nowożytnego państwa wpadł rozsierdzony krytyk ubezpieczeń od wypadków.

— To wynosi miliony z całej Rzeczypospolitej. Gdzie? na co idzie? kto z tego korzysta? Płacę kilka lat — wypadku nie było żadnego! Dlaczego to nie jest imienne? Niechby to było dla ubezpieczonych! Komu płacę — kto z tego korzysta! Skąd taki majątek zrujnowany, ubogi może opłacić buchaltera, który by prowadził tę drobiazgową rachunkowość wymaganą pod rygorem kar.

— A po co się upierasz przy swym statusie obszarnika! — zagadnął ironicznie wykrzywiony doradca. — Widzisz przecie, że ciebie tu nie chcą, że cię wycisną, zniszczą, usuną. Nie wytrzymasz! Ustąp! Chmara czeka i czyha na tę twoją ziemię. Chmara chłopstwa i tych, co się potrafią przystosować do nowych ustrojów i warunków. Po co ci ta męka, nędza, borykanie i poniewierka! Ustąp! Urząd Ziemi jest, reforma rolna uchwalona.

— Zapłacę ci coś niecoś, no i będziesz wolny.

— Dosyć twojego panowania! — zarechotał inny. — Kiedyś byłeś tu przysłany na osadnika, na rubieżę, królewską wolą z rozkazem, byś pilnował i bronił, byłeś herbowy — wielmożny — urzędnik, władca, rycerz.

— Teraz nie ma króla, nie ma szlachty ni herbów, ni dworzan, ni rycerzy. Naród sam sobą rządzi, sam panuje, sam prawa stanowi. Ziemia dla tego, kto ją orze, a nie dla burżuazji — próżniaka. Nie ma dla ciebie miejsca, posady, ani racji bytu. Precz pójdiesz — boś próchno i stara, zetlała płachta grobowa.

Jelec wyciągnął ręce na papierach i głowę na nich położył. Otaczała go posępna „szarość”, kłębowisko bez barwy, w którym tkwił jak owad w kokonie. Wszyscy mieli rację i oskarżyciele, i sprawozdawcy, i doradcy, Znoszenie tego stanu rzeczy, upieranie się w trwaniu, było absurdem, walką żdźbła z potokiem. Wszyscy mieli rację.

I oto, w tej ciszy, usłyszał jakieś pogwizdywanie ciche i dalekie. Ktoś jeszcze szedł — ktoś niefrasobliwie wesoły. Pogwizdywanie było, jakby ten ktoś kosa przedrzeźniał o letnim zachodzie słońca. Jelec poznał — to gwizdał po swojemu wuj Michał Białozor. I oto mówić począł:

— Prawda — wszyscy mają rację. Ustąpić i odejść wszyscy muszą, co są próchnem i zetlałą płachtą grobową. Wszyscy zdrajcy, odstępcy, bezduszni i bezmyślni, i oszusty swego własnego sumienia. Co znaczy bezustanne narzekanie i krytyka, i obmowa, i nienawiść! Lada chłystek sądzi i wydaje wyroki, potępia wszystko i każdego — od szczytu najwyższego do dołu przyziemnego. Sam czarny jak kominiarz — smaruje wszystkich na Murzynów, sam bankrut — uczy i krytykuje finansistę, sam głupiec — nie uznaje żadnego rozumu. Sam bez zasad honoru, czci i sumienia — piwa na każdy autorytet. Próchno — zetlała płachta grobowa! To nie warunki i stosunki usuwają w grób i nicość, to własna nicość i śmierć duchowa. Pamiętasz, cośmy kiedyś czytali w Nietroni, coś ty nazywał „Manifest jedynastu” — taki apel do dworów polskich na Kresach. Tylko jedenastu uznało winę — dało świadectwo prawdziwe. A ja ci powiadam, chłopcze, że bez winy własnej nie ma zguby i bezkresna jest moc człowieka i wytrwanie, gdy naprawdę w Boga wierzy i bliźniego kocha. Poza tym głupota wszystko i tuman złudny! No — i panowanie złych mocy! A każdy zły nie tyle jest zły, co głupi, bo najgłupszą głupotą jest niepojmowanie, że szczytem mądrości jest dobro. Póki ludzie się tego nie nauczą — poty na ziemi będzie piekło!

I pan Michał zaczął znowu gwizdać, ale już nie przedrzeźniał kosa, lecz poświstywał starą, bardzo starą piosenkę.

Jelec się wyprostował, wstał, zagarnął papiery i ciężko na nich położył prawicę.

— Niedoczekanie wasze! Ustąpię chyba z Białozorami — ostatni. A potem począł się uśmiechać i zaśpiewał tekst do tego gwizdania:

*Włożę ja kontusz, włożę ja żupan,
Szablę przy paszę.
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej
Tam się ucieszę.*

I gotów był jechać znowu do Nietroni. Ale do okna zastukał Bućko:

— Ludzie ze wsi przyszli i proszą, żeby pan do nich wyszedł. Powiadają, że mają ważne dzieło.

Chłopi stali przed gankiem, odświętnie ubrani — sami najdostojniejsi, najbogatsi gospodarze i czekali w milczeniu.

Gdy wyszedł i pozdrowił ich, wystąpił na czoło Wasyl Sereda, najstarszy i najmowniejszy.

— Dobrze zdrowie, pana! — odpowiedział na pozdrowienie. Rozmowa była w miejscowym narzeczu, które Jelec posiadał jak własne i znał każdego z nich z imienia, rodu, charakteru i życia.

— Co wam trzeba, ludzie? — spytał.

— My do pana przyszli naprostować prawa, bo dowiedzieli się, jakie to kiejstwo* cudze ludzie nałgali na pana i na nas, że aż doszło do najwyższego naczalstwa. Dowiedzieli się i naprostowali! My i nie wiedzieli, i nie słyszeli tego dzieła, i dopiero na dniach rozeznali. Jak wiek wiekiem, my z dziada pradziada z pańskim rodem żyjemy i żadnej krzywdy nie mieli. A to podobno mechanik chłopca Klimowe — go pokarał za jakieś głupstwo i z tego złożyli całą pisaninę. Jak jego i pokarał, to bajki — durny chłopiec z tego tylko rozumu nabierze — ale żeby na pana to złożyć to już całe kiejstwo. Więc my doszli, skąd to poszło i kto to nafałszował, i naprostowali. Przynieśliśmy papier, który ten, co zełgał, podpisał — i my swoje dodali — i tak i poszliśmy do naczalstwa. Że się pan na nas nagniewał i chciał pokarać, to nas za serce wzięło, bo my nie winowaty, a chyba nam pan teraz odpuści i tego nie zrobi, żeby Moroczańcom te wypasy w korzyść oddać, na których nasze było się pasie. Pan Kulesza mówi, że pan odrobku nie chce, ale gotówką opłatę. No, to i tak możemy się zgodzić, ale żeby Moroczańce z nas kpinę stroili — to nie może być! Toby wstyd i krzywda, bo my nie winowate, jako w tym papierze stoi! Jelec zrazu zaskoczony, zrozumiał. Wziął papier i odczytał.

— Ktoś wam to bardzo gładko napisał — rzekł poważnie.

— Teraz już szkolniki umieją.

— A że to nauczyciel zgodził się podpisać taki cyrograf na siebie?

— Gromada wielki człowiek i nie da sobie w kaszę pluć, a jego rzecz dzieci uczyć, a nie leżać w szkodę całej wsi. Teraz pan wie, kto łgał, a kto praw i będzie z nami stara zgoda i porządek.

— Ano dobrze. Niech będzie! Wyślecie papier — przyniesiecie mi odpis, a wtedy napiszemy kontrakt nowy na wypasy.

— Na gotówkę! — ozwał się Kulesza, który wyrósł jak spod ziemi. Chłopi zadowoleni pożegnali się i poszli.

— Był tu u was Sawicki? — spytał Jelec.

— U nas? Nie był. Ludzkie oko nie widziało we dworze.

— Nie łzyj! Sameś mu poddał tych Moroczańców i tę gotówkę!

— Oj, panie! To dopiero początek sprawy. Nauczyciel gorzej się wkopał. Tylko co przyjechała policja do pana, na dochodzenie śledcze. Czekają na pana u mnie.

* Kiejstwo — tu: głupstwo, głupota.

Wchodząc do mieszkania Kuleszów, Jelec ujrzał przede wszystkim stróża polowego Sichnieja Łomakę — brata Grypy, który szeroko i dobitnie coś opowiadał policjantom i umilkł na widok chlebobdawcy.

Policjantów było dwóch. Komendant posterunku przywitał Jelca i wyjaśnił, że na mocy oskarżenia musi zestawić protokół.

I zaczęły się urzędowe pytania: imię, nazwisko, imię ojca i matki, wiek i miejsce urodzenia, na co z całą cierpliwością odpowiadał, nic zresztą nie rozumiejąc — kto, kogo, o co oskarżał i jaką on w tym gra rolę.

Nareszcie:

— Czy mieszka u pana i zajmuje posadę pomocnicy domowej Agrypina, córka Radziwona Łomaka — panna?

— Tak.

— Czy wiadomo panu, w jakich była stosunkach z panem Ignacym Kutasem, nauczycielem szkoły powszechnej we wsi Łucza?

— Nie wiadomo.

— Czy wiadomo panu o zajściu, które miało miejsce dnia siódmego sierpnia w budynku szkolnym?

— Dnia tego byłem nieobecny w domu.

— Pan zechce to zeznanie swoje podpisać. Podpisał — i spytał:

— Właściwie co się stało?

— Wedle oskarżenia brata poszkodowanej została ona podstępnie zwabiona do mieszkania nauczyciela, znajdującego się w lokalu szkolnym, urzędowym, o godzinie 21.

W tej chwili w izbie ukazała się Grypa, szlochająca i zawodząca ofiara, i niepytana zaczęła opowiadać:

— Skrzywdzić mnie chciał biedną dziewczynę sierotę. Powiada — przyjdź, to ci przeczytam list — co ci brat przysłał z Hameryki. A cóż ja, głupia — uwierzyłam i poszłam. To mnie do stacji swojej zaprowadził i stał na rozpustę namawiać, a potem dusić i ciągać. Broniłam się, co ja przeciw jego siły mogę. Och, ja nieszczęsna sierota, aż tu ludzie naszli do sali, po sprawie do niego, więc zamknął mnie na klucz i kazał milczeć, grożąc i poszedł do ludzi. To ja dopiero w krzyk, ratunku, a Sichniej był z ludźmi i po głosie mnie poznał i wyratował. Ludzi pełno było — zaświadczą. Moja dola dziewczyńska, sieroca. Trzy lata we dworze służyć i nikt mnie nie zagabał, ani napastował, a taki psi syn, przybłęda, na czci mnie hańbę zrobił.

Cała ta dramatyczna opowieść była wyszlochana, wyjęczana, że aż Sichniej mitygował:

— Cyt'że, cyt! Sąd mu nie daruje — prawo jest. Rozpowiedz spokojnie, jak co było, żeby panowie spisać mogli.

Ale Jelec dłużej wytrzymać nie mógł. Zwolnił się, zostawił policję przy ciężkiej pracy układania soczystego protokołu i schronił się do sypialni Kuleszów, gdzie wybuchnął śmiechem, któremu na całe gardło wtórował Kulesza, Suhak i nawet stary Bućko.

— To i w gazetach lepiej nie zmyśla.

— To w teatrze można pokazywać — dogadywali, a Suhak zakończył:

— Ale i nasz chłop, jak kosi na błocie albo łże — to mu nikt nie sprost.

— A teraz przyznajcie się, jak to Sawicki urządził?

— Jak Boga kocham, nie wiem. We dworze nie był. Może na jarmarku w Zahoście z chłopami się zwąchał, bo podobno u Zahoskiego pana młyn narządzał. Sichniej na jarmarku był i w kuchni z Grypą coś rajcowali potem. Ale najlepsze dla nas te wypasy za gotówkę. Odrobki to męka z nich wyciskać i połowa przepada. Teraz się wystraszyli, to sami będą pilić, żeby kontrakt w gminie spisać i zadatki złożyć. Zobacz pan ich jutro na targach.

— Uf! — stęknął Jelec, który znał system chłopski, obrachowany na zmęczenie Lacha gadaniną, prośbami, aż, znudzony i zniecierpliwiony, ustąpi.

Był uwiązany tą sprawą w domu, skazany na próbę nieludzkiej cierpliwości, ale przypomniał sekwestr żyta, nakazy płatnicze i to postanowienie wytrwania, i został.

— Może byśmy z panem pojechali jutro na tę Moraczańską granicę — zaproponował nieśmiało Kulesza. — Zobaczylby pan te wypasy i ocenił.

— To może i mnie weźmiecie ze sobą — ozwał się głos za oknem.

— Wuj Michał! — porwał się Jelec.

— On sam. A że policja od frontu — wchodzi oknem! I znalazł się w izbie.

Witajcie, stare znajomki! Byłem dziś u Ohryzki na grzybach i przyjechaliśmy po sąsiedzku. A co u was policja tropi, czy nakazuje?

Tedy zaczęli mu opowiadać, a on zajął się specjalnie kwestią wypasów i zmówili się na wspólną jazdę na miejsce.

Kuleszyna zatroskała się o wieczerzę, ale pan Michał rzekł:

— Niech się pani Dorota nie turbuje. Ida już tam pewnie się zajęła.

— Ida! — skoczył Jelec.

— Ano, poszła do Julci. Była ze mną na grzybach i dowiedzieliśmy się o pomnożeniu rodu, więc powiedziała, że trzeba się dowiedzieć, czy czego nie trzeba.

Ale Jelca już nie było w stacji, zanim skończył mówić. Więc jutro o świcie ruszamy. Mamy czółno Ohryzki — pożegnał ich pan Michał.

— Idę panience pomóc! — zawołała Kuleszyna, a gdy szli ku dworowi, spytała szeptem:

— Proszę pana, będzie co z tego?

— Kręta rzeczka i powoli płynie. Jak Bóg da dopłynie — zacytował pan Michał ludową dumkę miejscową.

A Ida już po swojemu gospodarzyła, sprzątała dom, cieszyła chorą, musztrowała spokojnie służebne dziewczki, rozsądzała dzieci, przygotowywała posiłek i nocleg, lustrowała spiżarnię i słuchała Jelca, który chciał pomagać, a tylko przeszkadzał i z radości, że ona jest pod jego dachem — gadał, gadał, gadał!

— Że też ciebie zwolnili, żeś się wyrwała! A wiesz, że przed kilku godzinami był w takiej rozpacz, że chciałem wszystko cisnąć do licha — i oto taki mam wieczór! I jutro razem na te łąki popłyniem, a potem was odprowadzę do Nietroni. Opłyniem granice swoje Tais!

— Jutro podobno przyjdzie Edmund i w niedzielę mają być chrzciny. Jakichś krewnych swoich przywozi.

— Ach, wiem! Obrąpalskich! Oni w czambuł to plemię do chrztu trzymają. Ale jutro nasze!

— Co prawda, mnie by wypadało tu zostać i te dzieci doprowadzić do porządku. Trudno sobie wyobrazić czwórkę gorszych oberwańców.

— Oszalałaś! Pojutrze znowu się oberwą. A przy takim wychowaniu to kiedyś nawet z szubienicy się oberwą.

— Jeżeli nie pozabijają się w zaraniu życia z braku rodzicielskiego nadzoru.

— No, kiedy się tak o nie troszczysz, ubezpieczę je wszystkie od wypadków w zacnym zakładzie we Lwowie, na Brajerowskiej ulicy. A my pojedziemy!

Ido, jeść i spać! — zawołał pan Michał wchodząc. — A ty, Antku, pokaż mi plan Łuczy i trochę pomówimy o tej sprawie wypasów. No — i jeśli wytrwasz w chęci spróbowania czasowej emigracji — to zabieraj ze sobą Sawickiego.

Po wieczerzy rozłożono na stole wielki, stary plan majątku i studiowali go we troje. Jelec ziemię swoją znał i egzamin wuja o wartość, granice, nazwy, ilość siana, warunki zbioru i paszy zdał porządnie i ściśle. Pan Michał notował, kreślił, sumował i wreszcie rzekł:

— Z bakalarza postąpię przyszłej jesieni na rządcę. Michaś pójdzie do piątej klasy we Lwowie, ma zapewnioną stancję u profesora Szczytta. Terka pójdzie do Nazaretanek, a ja będę hodować plemię Nieumierszyckich i pomagać Kuleszy! No, teraz chodźmy spać!

— Dźwiga się Niestroń rarogów! — rzekł Jelec. — Ale i drużynę ma wuj Antoni karną i sprawną!

— Bo sam jest karny i oddany swym obowiązkom i stanowisku! — ozwała się Ida. — Autorytetem trzeba być, żeby go mieć u innych. Narzekanie na rozwydrzenie młodych to niesłuszna napaść. Gdybyśmy byli dziećmi Protasewiczów, bylibyśmy jak oni.

— Patrzcie jaka mądrała! — zaśmiał się pan Michał.

— A pewnie! Myślę nawet, że i stryj w tej kompanii polowałby z dygnitarzami i zasiadał w siedemnastu urzędowych komisjach, i był przekonany, że jest wielką figurą i działaczem.

— I podpisywałbym weksle, i żyrował, i węszył za kredytem.

— Kto wie — może!

— Warto tyle milczeć, żeby wreszcie przemówić tak głupio. A ja byłem pewny — że masz dla mnie respekt i uznanie! No, no! Spadłem do roli piątego dziecka twego ojca. Antku, chodźmy spać. Mam dosyć tej perory!

Ale się uśmiechnął pod wąsem, więc Ida dodała wesoło, całując go w rękę na dobranoc.

— Dzieckiem naszego ojca być to wielkie szczęście.

— Ja się stawię na szóste! — zawołał Jelec.

— Rozumie się! — potwierdziła, serdecznie przesuwając dłoń po jego złotej czuprynie.

— A ty, co o tym myślisz? — spytał pan Michał, gdy się zabierali do spoczynku.

— O autorytecie? Ja tak niedawno zacząłem w ogóle myśleć, że wierzę w was i basta!

— Masz rację. Niech ci radą służy taki, który sobie dobrze radzi. A zaś co do autorytetu...

— Wuju, Ida pojedzie z nami na tę granicę? — przerwał Jelec. Pan Michał ręką machnął i zaczął odmawiać pacierze. Nie miał z kim filozofować!

Nazajutrz o świcie ruszyli. Kulesza zabrał pana Michała na swe czółno, którym sterował stary chłop, a Ohryzko ruszył za nimi, wioząc młodych.

Wpadli od razu w sieć „prości”, „rowców” i tym podobnych szlaków wodnego labiryntu i poniknęli w szuwarach.

Chłop był skarbnicą wiadomości granicznych i zawiął tę kwestię wykladał na wyścigi z Kuleszą — pan Michał notował i szacował mijane uroczyska.

Wreszcie stanęli przy jakimś ostrowiu i Kulesza rzekł:

— A teraz rozpowiedz, didu*, tę starą gramotę*! Bo oto, panie, na lewo nasze łuczańskie wypasy, a tu się zaczyna od błot wsiowych Łuczy granica moroczańska.

I chłop z rozkoszą pieniacką jął prawić:

— To za nieboszczyka pana moroczańcy zaczęli się sądzić o te wypasy. To o mały włos pan nie stracił tej ziemi, a my zostaliby bez paszy dworskiej.

To wtedy pan znalazł starą gramotę; starynną sprzed carskich czasów, kiedy komorniki królewskie to państwo obchodzili i granice stanowili.

A stało tam tak napisane: od duba hde dwi nasiczki do sosny hde try nasiczki, a potem riczkaj Wesołuchoj do wołykoho korcza łoży protiwo kołoworota seła Moroczny. Kopycy sypały, w zwony były, prysiahały i łoży brały szczob pametały (od dębu, gdzie dwa nacięcia, do sosny gdzie trzy nacięcia, a potem rzeczka Wesołuchą do wielkiego krzaku łoży naprzeciw kołowrotu wsi Moroczna. Kopce sypali, w dzwony bili, przysięgali i łoży brali, żeby pamiętali).

Jak pan to przed sądem złożył i przeczytali to moroczańcy, od sprawy odstąpili i stali pana o mir* prosić i od tej pory nijakiej już kwestii nie było: to ten kopiec po dziś dzień nazywa się Królewski Dub, a tamten drugi Królewska Choja i tak się i wtedy zwały, a znaleźli się starzy ludzie, którym dziady powiadali, że przy tym byli i łoży brali, jako i mnie mój did

* *Did* (ukr.) — dziad.

* *Gramota* (ukr.) — (lub hramota) dawniej na Litwie i Rusi pismo, dokument pisany.

* *Mir* (przest.) — pokój, zgoda.

rozповідаł. A jak w cerkwi dzwonią, to tu słysząc. A ot i Wesoluchą przy Królewskiej Choi.

Wpłynęli na bagnistą, krętą strugę i rozejrzeli się po bezkresnym pastwisku.

— Ileż tu waszego bydła się pasie?

— Kto jego wie, na czysto! — rzekł chłop. — Odrabiamy sto dni pieszych i pięćdziesiąt konnych.

— Wasza głowa, didu Weremiju, inny ład zaprowadzić! — rzekł Kulesza. — Teraz od sztuki trzeba wam będzie płacić. A wasze bydło będzie darmo — za tę waszą fatywę.

— A jaka cena?

— To już potargujemy się przy umowie. Ino się zdecydujcie, bo moroczańcy napierają, a znowu żydy chcą to wydzierżawić na siano.

— A niedoczekanie ich! — zaniepokoił się chłop.

— A wiele macie swojego? — spytał pan Michał. — A jest tam tego z pięć ogonów.

— U mnie zapisano piętnaście i trzy konie — rzekł Kulesza.

— At, jakie tam. Chyba z cielętami. To pewnie mój durny Karp podawał na wiosnę!

— Miej ty i dwadzieścia, jak sprawę załatwisz.

Minęli Moroczną i pastwiska — znowu roztoczyły się grząskie łąki — pokoszone i postożone — i zaczęła się gawęda o ilości i wartości siana. Notatnik zapewniał się nazwami i cyframi, łódka kołowała po fantastycznych zakrętach wodnych żył.

Wreszcie zatrzymali się na spoczynek przy skrzyżowaniu dwóch rzeczulek i znaleźli wśród łąz wyższy trochę ład, gdzie Jelec z Idą rozłożyli obozowisko.

Pan Michał wyciągnął się na trawie w dymie ogniska od komarów i rzekł:

— Na świecie, poza naszymi błotami, zmieniają się rządy, panowania, prawa i kodeksy, ale dziś się przekonałem, że tu ma dotąd posłuch i poważanie „Statut litewski”. Mądre były te stare Jagiellony i znały swego ludu psychikę.

— Wuj myśli o tym sławnym granicznym dokumencie z Moroczną. Krótki jest i mocny. Po wytchnieniu i posiłku, poproszę żebyście mnie z sobą zabrali, bo muszę być jutro w powiecie, załatwić mnóstwo spraw. Znalazłem w domu istną puszkę Pandory i wolę wymigać się od chrzcin.

— Dzięki Bogu! Nie zabierze mi pan znowu na tydzień łysej kobyły! — ucieszył się Kulesza. — Ale w przyszły wtorek przyjdą chłopci na targi — to pan przy tym musi być.

— Będę i może po drodze gdzie Sawickiego odszukam i w sukurs przyprowadzę!

— No to ruszajmy, Ohryzko, bo nam droga daleka! — rzekł pan Michał.

Gdy odpłynęli, stary Weremij rzekł:

— O jakim to prawie mówił nietroński pan. Jakoś nazywał jagłońskie! Czy to takie miasto, czy kraj?

— Ja myślę, że to takie jakieś wysokie naczalstwo! — zdecydował Kulesza.

IX.

Zasiano oziminy, potem długo warczała młockarnia i trwała szara, posepna orka późnej jesieni, a wreszcie przyszły słoty, przymrozki, śniegi i warsztat pracy ścieśnił się do gumna, i zapadał na wsie i dwory długi okres ciszy, ciemności nieba i martwoty ziemi. Kto mógł uchodził do miast — do ludzi; kto nie mógł, dostosowywał się do natury.

W Nietroni Białozor sprzedał żyto; kartofle zostawił na opas wołów i wyjechał na cały tydzień z domu; pan Michał uczył dzieci i czytał. Z powrotem Białozora zaszły zmiany, drobne na pozór, a dla nich wielkie. W jadalni zabłysła wielka lampa nad stołem, przy którym wieczór zgromadzał wszystkich, zaczęły przybywać gazety i książki. Michaś dostał narzędzia stolarskie. Terka wzory i materiały do haftu, a pewnej niedzieli przyniósł Bałozor książkę rachunkową i rzekł:

Pracowaliśmy razem i Bóg dał dobry rok. Słuszne byśmy się dziś zarobkiem z pracy podzielili. Dziękuję wujowi za dochód z pasieki, ciotce za staranie o naszą odzież i bieliznę, Idzie za gospodarstwo domowe, dzieciom za wyрекę i dobrą naukę, tobie, Michale, za ogród i bakalarstwo i oto z rachunków wypada na każdego z was po czterysta złotych.

I położył przed każdym paczkę asygnat^{*}.

— Co znowu! Po co! — zaprotestował stary, a ciotka się rozplakała.

Dzieci i Ida zapatrzyli się w ojca i milczeli.

— Dzięki waszej pomocy i naszej zgodzie dźwigam się i przetrwam. Przyjmijcie! A dzieci niech też nieco swojego grosza mają, uczą się nim rządzić, na co wydawać lub zbierać. Na rok przyszły między ludzi pójdą z gniazda. Jutro do Medwidły jadę na dni kilka drzewo wybierać i ścinać na odbudowę domu. Z wiosną zacznie się budować wedle starego planu i kształtu.

Wyszedł prędko, a pan Michał rzekł do Michasia:

— Na cóż ty wydasz taką moc pieniędzy?

— Nie wiem. Niech je stryjek schowa. Aleśmy tatusiowi nawet nie podziękował.

— Idź żywo! Dygocesz cały! Ida ma dla ciebie gorące mleko. Nie odmroziłeś uszu, rąk, nóg?

— Nie wiem! — odparł sennie.

A Dokim, rozbierając konie w stajni, opowiadał świecącemu latarnią Białozorowi:

— Sierdzisty pan będzie z panicza. Minęliśmy już Kokorycę, aż tu od Cyru słychać hukanie. Panicz powiada: ktoś się zawalił i woła ratunku. A ja mówię: pijany czy durny zabłądził, trza zapalić wiecheć siana, to zobaczy i na światło się skieruje. A panicz powiada: brać sznury i iść na wołanie, i sam bierze swój sznur i idzie, i odhukuje. Co było robić — poszliśmy — i jego prawda była. Ze dwie godziny nam zeszło, nim wywlekliśmy konie i sanie, i żeby nie my, toby do tej pory wszystko zmarzło.

— Któż to jechał?

— Z Moroczny, ze dworu. Jakiś dziad, co mu latem w pasiece siedzieć, a zimą na piecu, i panienka, mała jak nasza. Z Zahosta jechali — na pustki i wleźli w same oparzele. Trza było łożę rąbać i słać, a konie na sznurach wywlekać, przepadliby bez nas.

Białozor wracając, wstąpił do stancji brata. Michaś już spał. Pochylił się nad nim i pieszczotliwie po głowie pogłaskał.

— Zmarzło do kości i wrócił w moim tylko kozuchu. A tak był zmęczony i senny, żem go tylko napoił gorącym mlekiem i niech śpi — rzekł pan Michał burkliwie, bo uważał eksperyment za ryzykowny.

Ale nazajutrz Michaś wstał zdrów i zdał ojcu sumienny raport.

^{*} Habenda (z łac.) — w dawnej Polsce niewielka posiadłość wiejska.

— Postyszałem wyraźnie: „ludzie, ratujcie”, a Dokim się upiera, że to pijani krzyczą i ani myśli iść w pomoc. Więc wzięłem sznury i sam poszedłem; wtedy i oni się ruszyli. Znaleźliśmy konie, zawalone w błoto, i już prawie skostniałe, sanki jeszcze do połowy na lodzie... Pytam, kto jedzie? Ledwie zrozumiałem odpowiedź: „To ja, Jadźka z Moroczny”. Więc jej dałem mleka, co mi Ohryzkowa dała ciepłe w zanadrze i jeszcze było nie zmarznęte i wyprowadziłem na stały lód, rozpałem ogień z łozy i siana, a że była strasznie zmarznęta, więc ją okutałem w swój kozuch, bo miałem przecie dwa, a ona jakieś tylko kaftany i derki. To mi odpowiedziała, że u nich babka sparaliżowana, matka leży na zapalenie płuc, a mieli im jutro licytować krowy, więc matka pożyczyła u Żyda na przyszłoroczne siano tysiąc złotych i posłała ją z tym do gminy, a jak wracała to zmylili drogę i, jeżdżąc od stoga do stoga, zupełnie zbłądzili. Ona ma jedenasty rok, jak Terka, i już matce pomaga. Tymczasem Dokim z parobkiem wyciągnęli konie — zaczęli je trzeć i jakoś postawili na nogi. No, i wyprowadziłem na drogę do Moroczny — i ze trzy godziny to nam zajęło. Ale przecie nie można było inaczej zrobić!

— Owszem, dobrześ zrobił, po sąsiedzku i po bożemu. Ale teraz co dalej robić?

— Co tatuś każe.

— Ano, trzeba żebyś się dowiedział, czy zdrowo dojechali. Weź jutro kuce, i pojedźcie z Terką.

Przysłuchiwał się tej opowieści pan Michał i odezwał się:

— Jadźka z Moroczny! To mi przypomina mój ostatni etap powrotu do kraju. Przebrnąłem graniczną rzeczkę w nocy — po ramiona w lodowatej wodzie, bo to marzec był. Co prawda, nawet nie wiedziałem, czym nie zbłądził. Widzę jakieś budynki — doczołgałem się — chlew był — wsunąłem się do środka — namacałem jakieś leżące bydlę — i przytuliłem się do boku, czując, że kostnieję. Krowa była — obwąchała mnie i przyjęła. Ale mnie pies stróż zwęszył i zaczął ujadać, a potem i głos ludzki szczyjący i kroki zbliżające się. Myślę: jak przemówić — i nagle słyszę wołanie: Jadźka, daj no latarnię — w chlewie ktoś jest! I odetchnąłem na to imię nasze. Leśniczówka była po naszej stronie.

Tu się zwrócił do Michasia:

A czemuś ty oddał swój kozuch, a nie mój, coś miał na wierzchu?

— A bo, stryju, pomyślałem, że dać trzeba swój i ten cieplejszy od spodu!

— A drogę do Moroczny znasz? Nie zabłądzisz?

— Znam. Teraz lodami to blisko.

— No, to idź spać, i ruszajcie rano, kucami. Gdy Michaś odszedł, pan Michał rzekł:

— Podwaliny sobie przywiózł, a może ci i synową wypatrzył.

— A może! I owszem. Bohusze to dobre gniazdo.

— Jeśli tam tylko trzy kobiety do pracy i rządu, a w tym jedna bezwładna, druga z zapaleniem płuc, a trzecia dziecko to widzi mi się słusznie, żeby apteczkę i bańki zabrał i z dziećmi tam pojechał, bo ich pewno na doktora z urzędowym papierem nie stać. Jelec mówił, że tam kompletna ruina!

— Jedź, rozejrzyj się i rozpytaj. Może trzeba pomóc.

— Po Łuczy Moroczna nam na głowę spadnie.

— Ano, jeśli tam ma być żona dla twego wychowańca! — uśmiechnął się Białożor.

Nazajutrz tedy ruszyli we troje.

Wieczór wczesny zapadł, mróz zelżał, śnieg zaczął sypać. Rodzina zebrana była, jak zwykle, w jadalni i nikt nie postyszał, gdy wrócili.

Do pokoju wpadły dzieci, jakieś zestraszona przejęte! Terka rzuciła się ojcu na szyję, przytuliła się doń i łkała. Michaś, jak zawsze skupiony, u kolan ojca przykucnął i patrzył oczami pełnymi zgrozy.

— Co się stało? Gdzie stryj?

— Został, bo życie pani Bohuszowej w niebezpieczeństwie i nikogo tam nie ma.

— Tatusiu, tatusiu! — łkała Terka. — Jacy my szczęśliwi! Jak u nas dobrze, ciepło, bezpiecznie! U nich tak strasznie, pusto, ciemno, zimno. Wielki dom, ale mieszkają w dwóch pokojach — reszta bez okien, nieopalona, bez mebli — strasznie! Jeden stary dziad — stróż i służący — i ta Jadźka! Służąca odeszła — gotowała pani Bohuszowa sama. A babusię ma, co od czterech lat z łóżka nie wstaje, a teraz i mama jej leży — i pewnie umrze... Tatusiu, tatusiu!

Ida wstała, spojrzała na zegar.

— Żebym za godzinę wyjechała, to na północ zdążę! Nie dał wam stryj kartki jakiej?

Michaś podał jej obdarty kawał papieru. Był to jakiś „nakaz płatniczy”. Na odwrocie nagryzmolił pan Michał:

Parę kur na rosół, jaj, masła, herbaty, cukru. Idę choć na parę dni. Stan ciężki — wszystko opisane. Trzeba natychmiast tysiąc złotych i pomocy dalszej.

Idy już nie było w pokoju. Wyszedł też co rychlej Białozor. Ciotka Ludwika zawołała dzieci do posiłku. Ale oni zaczęli ze sobą szeptać, wychodzić i wracać, i wreszcie oboje poszli do ojca pokoju.

Gdy Białozor, wydawszy polecenie Dokimowi o konie, wrócił — zastał oboje — stojących u stołu — nad dwoma kupkami asygnat i Terka oświadczyła:

— Wydałam trochę, ale niech tatuś im da.

— I moje też! — rzekł Michaś, — Ale tak, żeby im przykro nie było. Żeby nie wiedzieli, może!

Białozor pochylił się, obie jasne głowy do siebie przygarnął.

— Dobrze! Nikt nie będzie wiedział — tylko Bóg.

Przeliczył, dodał z biurka, napisał parę słów i wsunął do koperty.

— Oddajcie Idzie. Bierzemy Moroczną w opiekę. Nie damy zginąć. Prawda?

— Za nic, za nic! Nie damy! — powtórzyła Terka. Michaś w milczeniu ucałował rękę ojca.

— Musisz, Terko, wyręczyć Idę przez czas jej nieobecności — rzekł Białozor na pożegnanie.

— Rozumie się. Ona mi odda klucze! — z dumą odparła dziewczynka. — Jadźka też wszystkie klucze ma.

W trzy dni potem wrócił pan Michał. Chora była uratowana i na razie powstrzymana licytacja bankowa. Ida musiała pozostać, chociażby dla posług przy paraliżem unieruchomionej babce.

— Zdaje mi się jednak, że majątku nie da się uratować! — zakończył. Gospodarka zupełnie wyczerpana lawiną opłat i ciężarów. Takiej nędzy, upadku i pustki w tym kraju się nie spodziewałem. Szkoda starego rodu i dworku, gawrony zapanują. Mówiła mi Bohuszowa, że gdy tylko będzie mogła, przyjedzie do ciebie po radę. Zresztą płacze już tylko!

— Ciotka chce Idę zastąpić, więc ją tam zawiozę i rozpytam o stan interesów. Kiedy pojechać, by jej nie zmęczyć?

— Pojutrze może wstać, ale wyjechać nieprędko, bez narażenia. Organizm mocno naderwany pracą i troską. Dziecko, zuch!

Od pogrzebu Wacława Bohusza Białozor nie był w Morocznej. Bieda i ciężkie borykanie z nowymi prawami i stosunkami pozrywały więzi sąsiedzkie i towarzyskie. Wiedział, że wdową opiekował się Protasewicz, i że warunki finansowe były fatalne.

Ale widok tej ruiny dworu wśród zimowej martwoty i nagości nawet nim wstrząsnął.

Piękny dom mieszkalny miał okna deskami zabite, z wyjątkiem kilku bocznych, i wchodziło się doń wejściem służbowym. Budynki gospodarskie w większości stały puste i zniszczone — życie ledwie tłało.

Bohuszowa przyjęła go w jednym pokoju, trochę umeblowanym i ogrzanym.

Kobieta była drobna, sucha, siwa, o twarzy pooranej w bruzdy, jakby miała lat siedemdziesiąt, a nie pięćdziesiąt.

Zaczęła dziękować i płakać bezradnie, witać z wdzięcznością ciotkę Ludwikę, którą wnet zabrała Ida, aby instalować i pouczyć. Dziewczynka, czarnuszka, z oczkami jak tarki*, z warkoczem na plecach i w gospodarskim fartuchu podała mu herbatę.

Zaczęli rozmawiać. Ze zwykłą swą prostotą i bez niepotrzebnych omówień spytał o stan interesów.

Opowiadała spokojnie, apatycznie:

— Pan wie, że Wacław musiał spłacić swego stryja — inżyniera na Kaukazie. Wziął tedy pożyczkę bankową na sumę pięćdziesięciu tysięcy rubli. Mieliśmy też gorzelnię — i jakoś dawało się rady spłatom. No i przyszła wojna... Cofające się wojska ruskie spaliły gorzelnię, zagarnęły inwentarze, potem przyszli Niemcy i wycisnęli, co się dało... Mieliśmy na te straty wojenne dokumenty sporządzone w czas — akurat na sześćdziesiąt tysięcy rubli. Cztery lata okupacji żyliśmy z dnia na dzień, głodno i chłodno, nie orząc, nie zbierając, bo nie było inwentarza ni narzędzi, ni służby. Pola brzezina porosły, łąki łozami, budynki niszczały...

Po wyjściu Niemców, były najścia band różnych, potem przyszło wojsko polskie, potem znowu bolszewicy. Przetrwaliśmy najgorsze wśród błot — w ziemiance, którą Wacław sam sklecił, i doczekaliśmy polskich rządów. Zaczęliśmy się dźwigać. Było trochę zakopanego srebra, trochę klejnotów rodzinnych — sprzedało się, kupiło trochę bydła, koni, narzędzi, zebrało się nieco służby. Ciężko było, ale i radośnie, że to Polska nasza znów jest!...

Wtedy przyszedł podatek majątkowy. Oszacował Wacław wedle rozkazu majątek — wykazał dług bankowy i sumę strat wojennych...

Powiedział inspektor skarbowy, że dług bankowy skasowany jest traktatem ryskim, a sumę strat też skasowano, bo jakoś tak obliczono z sześćdziesięciu tysięcy na szesnaście — jak przeszło przez kilka komisji. Wacław się nie zmartwił, bo powiada: skasowano dług bankowy rosyjski, skasowano rosyjskie zniszczenie — no, to sprawiedliwie. Ale i majątkowy podatek wyznaczono dwanaście tysięcy złotych. Więc pożyczył nam Mejerson na dzierżawę cegielni na dwadzieścia cztery lata i jakoś wypłacaliśmy. A wtedy przyszło nieszczęście: Wacław dostał zapalenie płuc, bo się przeziębził przy zwózce siana z błot i w dwa tygodnie zmarł. A jednocześnie przyjechała z bolszewii stryjenka, wdowa i niedołączna, i takeśmy we trzy z dzieckiem zostały w tej pustce. Oprzytomniałam dopiero, jak urząd zjechał do szacunku majątku dla podatku spadkowego. Wtedy poratował mnie radą i opieką pan Protasewicz. Wyrobił, że mi ten podatek rozłożyli na lat kilka i otrzymałam parę tysięcy kredytu wekslowego na inwestycje, jak się to teraz nazywa, ale poszło na zaległe podatki, na najpilniejsze spłaty.

I były ciągle takie kredyty: a to siewny, a to żniwny — i pan Protasewicz zawsze mi pomógł, żebym coś dostała i łątało się jedno drugim.

Aż oto w zeszłym roku przychodzi, że dług tego ruskiego banku przejęło państwo polskie i należy się ode mnie z Moroczny pięćdziesiąt tysięcy złotych, które wpisano na hipotekę, i zaległości za te wszystkie lata, dwadzieścia tysięcy do spłaty pod rygorem licytacji majątku. Czy pan to rozumie! Czy to do pojęcia!

Nie przyjęto tego długu w szacunku ani do podatku majątkowego, ani do spadkowego, a teraz wpisano na hipotekę i mają sprzedawać to nasze gniazdo, tę naszą ziemię. A straty wojenne skasowano! Czy pan to rozumie?! Pan Protasewicz mi tłumaczył, że to są uchwały kongresu wersalskiego, który wskrzesił Polskę, ale ja tylko to rozumiem, że mi z dzieckiem i staruszką sparaliżowaną pod płot przydrożny trza iść i czekać śmierci!...

A jeszcze wstyd i wyrzuty sumienia, że zostaną moje weksle z żyrem* dobrych ludzi, co mi zawierzyli!

* Tarki — granatowo — czarne owoce tarniny.

* Żyro — poręczenie zapłaty sumy wekslowej.

Zacisnęła swe chude, spracowane ręce, oparła na nich głowę i umilkła, wstrząsana szlochem.

Białożor podniósł głowę na skrzypnięcie drzwi i ujrzał Idę, która snąc słuchała, bowiem miała twarz skupioną i twardą, w odczuciu tej niedoli.

— Nie będę pani męczył dziś szczegółami — rzekł. — Poproszę tylko o papier co do licytacji bankowej, bo to na razie najpilniejsze — i to załatwię. Nie ma położenia bez wyjścia, a nad ludzkimi prawami i nakazami jest Bóg dla tych, którzy weń wierzą niezachwianie, wiernie i stale... Pani trzeba wyzdrowieć, skrzepić się, i ufać w bożą opiekę i rząd.

— Państwo już tyle dla nas zrobili — wyjąkała, wstając i wydostając z szuflady w stole gruby pakiet urzędowych papierów.

— Zwykła sąsiedzka powinność. Córkę zabiorę, bo ona u mnie całą gospodynią — ale ciotka Ludwika pozostanie i pomoże. Niech pani będzie spokojna i liczy na mnie.

Gdy wracali do Nietroni, Ida się odezwała:

— Tatuś już pewnie ma plan ratunku dla tej niedołęznej gromadki.

— Nie, bom się w tych papierach nie rozejrzał. Ale opadły mnie dziwne podejrzenia i wątpliwości. Czy chciano tych ludzi istotnie ratować tymi pożyczkami i kredytami, czy też zniszczyć, rachując na ich lekkomyślność, łatwowierność, nierachunkowość, amatorstwo lekkiej pracy i to nieszczęsne: „jakoś to będzie”. Byliż ci rządcy głupi czy źli? Lekkomysłni, czy bratobójcy?

— Rezultat ten sam!

— Nie. Błądzący może mieć anioła stróża, ale gdy rządzi zły duch... Urwał, jakby ujrzał przed sobą przepaść.

— Tatusiu! nie może być! — zawołała przerażona. Białożor się opamiętał, opanował.

— Kiedym słuchał tej kobiety i porównał z nami — zrozumiałem dopiero dno nędzy i krzywdy, i wyzysku, i jakiejś strasznej miażdżącej mocy! Ano, trzeba myśleć o ratunku! Bóg jest!

Wieczorem, gdy się zebrałi wszyscy po wieczerzy, rzekł do Michasia:

— Przywiozłeś podwaliny — zwieziemy i resztę drzewa — ale nie zaczniemy domu stawiać i może jeszcze długo będziemy w tej chałupie, jeśli mamy poratować Morocznię.

— Albo tu nam źle! — wyrwała się Terka. A komu byłoby źle, niech do nich zajrzy. Niech porówna. Jadźka mi mówiła, że ją matka nauczyła tylko czytać i pisać.

— Aha, to i tobie nie spieszno, do klasztoru na pensję — rzekł pan Michał.

— A pewnie. Gabryk mówił, że tam trzeba płacić cztery tysiące. Michaś też...

— Co, Michaś też nie chce się uczyć!

— Nie, stryju, nie! Ja tylko mówiłem, że czytałem o chłopaku, co przeszedł gimnazjum, mieszkając u właściciela magła — pomagał wieczorami i miał za to mieszkanie. A studenci zarabiają jako szoferzy, mówił pan Sawicki, i grywają w orkiestrze, i przepisują u adwokatów, i robią tłum w filmie. Przecież mogą i ja ojcu ulżyć.

— A widzi stryj! — wołała Terka.

— Jeszcze nie widzę, ale słyszę. Tymczasem odrabiacie jutrzejsze zadania, bośmy przebarłoczyli ładnych dni kilka, a święta za pasem.

X.

Na tydzień przed świętami zjawił się Sawicki, tak wyświeżony, wystrojony i odmłodzony tą starannością, że go pan Michał powitał:

— Co to? Będzie pan nas zapraszał na wesele?

— W paszporcie stoi „żonaty”, więc asekurowanym* od tego wypadku.

— Może pan zmienić wiarę! Jest z pięć do wyboru.

Sawicki popatrzył na niego z grymasem cynicznego lekceważenia.

— Zmienić wiarę — głupstwo — kiedy się żadnej nie posiada, a tylko papierek metryki chrztu razem ze świadectwem szczepienia ospy i odbytej powinności wojskowej. Ale dostać za drogie pieniądze jeszcze jeden papierek, żeby sprawić sobie kobietę, niby na własność, w tych czasach ich „równouprawnienia”, to, panie, jakby człowiek nie rozróżniał zacierki od majonezu! Nie, nie żenię się, ale pan Jelec mi polecił, żebym tu był dziś, bo on też przyjedzie z Warszawy — pożegnać się.

— Więc ruszacie na pewno — razem?

— Tak. Wszystko załatwione. Okrątnąłem się, żeby Francuzi nie mieli Polaka za dziada — włóczęgę.

— Pewnie zostaniecie przez święta. Ma pan w pamięci polski opłatek?

— Nie! Teraz na te stare rupiecie nie moda — burknął i poszedł obejrzeć stare maszyny w stodole. Okazało się, że uparcie pamiętał o parniku* dla Idy, bo przywiózł z sobą brakujące części i nazajutrz ustawili z Semkiem zmontowany kocioł pod jej oknem.

Był już zadowolony w Nietroni, już nie raził w ich gronie wieczorem, nawet przy gospodarzu i dzieciach sprośny swój język trzymał na wodzy. Z Terką zaś był w najlepszej komitywie.

Jelec swoim zwyczajem przybył na drugi dzień po terminie, ale z zapewnieniem, że może choćby zaraz ruszać w daleką drogę.

Wręczył panu Michałowi pełnomocnictwo, plany, furę różnych kwitów i dokumentów, klucze od skrytek i biurka w Łuczy i odsapnął z ulgą.

Ale Białożorowie urządzili mu szczegółowy egzamin.

Okazało się, że istotnie wekslowe dłużni* i podatki były spłacone, ale zarazem wszelkie możliwe dochody z Łuczy były wyciśnięte na cały rok naprzód i na pytanie o jakikolwiek grosz na obrót gospodarski Jelec odpowiedział:

— Kulesza jakoś coś wykręci!

Wreszcie wypowiedział się z funduszu na drogę i okazało się, że ma zaledwie na przejazd i prawie głodowe utrzymanie w drodze. Wtedy pan Michał ręką machnął.

— Niech jedzie! — zakończył, zbierając papiery. — Nic tu po nim! Straci i tę resztę i znowu weksle mi zostawi do płacenia. Niech jedzie choć jutro.

Ale na to zaprotestowała Ida:

— Przecie nie będą świętowali w wagonie. Za trzy dni wigilia.

Na to się zgodził i Białożor, a skonfundowany, zbiedzony Jelec wyszedł po tej rozprawie jak uczeń po źle zdanym egzaminie.

* Asekurowany — ubezpieczony.

* Parnik — urządzenie do gotowania ziemniaków na paszę.

* Wekslowe dłużni — dłużni wynikające z wystawionego na specjalnym blankiecie zobowiązania do zapłaty określonej sumy pieniężnej.

Ale już nazajutrz wrócił mu rezon przy połowie ryb, na wycieczce z kuszą Michasia, przy wieczornych gawędach i opowieściach. Okazało się, że ciągle jeżdżąc i bywając w gronie „kombinatorów” powiatowych, znał interesy każdego i wszystkich, i wyjaśnił fatalne położenie Bohuszowej.

— Do Moroczny po drodze do powiatu wstępuje Nietyksza, Niekraszewicz i Protasewicz. Ten wziął ją pod specjalną opiekę, bo ma przyległe do Kenotopu pastwiska Moroczny bardzo wygodne. Dzierżawi je, a swoje kosi, bo gatunek siana lepszy i ma zbyt do wojska. Nietyksza i Niekraszewicz namówili Bohuszową do żyrowania weksli i do brania wszystkich kredytów... Kobieta jest łatwowierna, gościnna i bez pojęcia o finansowych sprawach. Wszystko jej można wmówić — na wszystkim okpić. Ciężką będzie miał wuj robotę, jeśli nie da się namówić na oddanie Moroczny w dzierżawę.

— Komu?

— A chociażby Szyrmiczowi, który kończy termin w Rydwianach, bo hrabia ten folwark obejmuje na siebie. Ma inwentarze i twardy szlachciura.

— A czemu pani Bohuszową nie sprzeda starego żelastwa ze spalonej gorzelni! — rzekł Sawicki. — Byłem tam — posłał pan Niekraszewicz po stare rury — dała darmo, że to jakiś jej krewny.

A i cegłę można sprzedać; przecie nie będzie odbudowywała! Ona jest dobra i każdemu wierzy — to jej wśród ludzi nie gospodarować.

— A Jadżkę pan widział? — zawołała Terka.

— A był tam jakiś czarny skrzat.

— Skrzat! Także mowa! To moja przyjaciółka! — zaperzyła się.

— Ubierajcie choinkę! — załagodził pan Michał, wnosząc śmigły świerczek.

W dzień wigilii wróciła też ciotka Ludwika.

— Pani Bohuszową coraz lepiej! — oznajmiła. — Ale wigilii tam nie obchodzą, bo to data śmierci męża i ojca.

Powiało smutkiem i powagą. Nawet Jelec ścichł, wodząc oczami za idą, a Sawicki z panem Michałem poszli na jezioro i wrócili dopiero o zmroku, gdy stół był już nakryty.

Białozor dzielił się z każdym opłatkiem, jak zwykle małowówny i pozornie bez wzruszenia. Skupiony był nawet Sawicki, ale się prędko otrząsnął — i rzekł:

— Na Wielkanoc przyślemy daktyli prosto z drzewa.

— A może na przyszły rok przyjedziemy w odwiedziny — nadrabiając miną, dodał Jelec.

— Zawsze wasze miejsce tu będzie! — rzekł Białozor.

— Nie wrócę, aż będę milionerem, żeby umówić sobie do swego pałacu kilku ministrów na kamerdynerów! — rzekł Sawicki.

Potem zaczął szperać po kieszeniach i przed każdym położył na talerzu prezent na gwiazdkę.

Były misterne kłódki, pomysłowe narzędzia ogrodnicze, scyzoryki, dla dzieci łamigłówki z drutu.

— Własne wynalazki! — tłumaczył się. Okazało się, że każdy szykował niespodzianki i pod zapaloną choinką każdy dla siebie coś znalazł. Michaś na skrzypcach Gabryka już umiał wygrać kolędy, więc wreszcie rozśpiewali się wszyscy i tak im wieczór zeszedł, w starym wigilijnym nastroju.

Gdy zadzwoniły sanki, na pasterkę pojechał Białozor z ciotką i wujem Kajetanem, a Sawicki gdzieś zniknął.

— Mówił, że interes ma do szewca we wsi — rzekł Michaś do stryja. — Prosił, żeby drzwi nie ryglować.

— Nie rygluj! Kaktus złodzieja nie dopuści. Ale to mu pilno do szewca!

I zmęczony legł spać.

Dobrze po północy Sawicki wracał. Poznały go psy i przepuściły bez protestu. Dom był cały uśpiony i ciemny z wyjątkiem dwóch okien jadalni, oświetlonych od płonących pni na kominie.

Do jednego z okien ujrzał przytuloną pod ścianą drobną postać. Chwilę się jej z uśmiechem przyglądał, wreszcie cicho się zbliżył.

— Przeziębci się panna Terka! — rzekł szeptem. — A i podglądać nieładnie.

Ale jednocześnie sam się zapatrzył.

Przed kominem na ławie prostej siedział Jelec obok Idy. Dłonie mieli splecione, głowy o siebie wsparte i zapatrzeni w ognisko mówili do siebie zapewne ostatnie pożegnania, ostatnie słowa, ostatnie przed długim rozstaniem polecenia, prośby i smutki.

Oboje skupieni byli i uroczyści, ale twarz Idy, zwykle surową, rozjaśniało uczucie, a Jelec był niebywale poważny, wcale niepodobny do niefrasobliwego wesołka i „kombinatora”.

— Czego panna Terka płacze? — szepnął Sawicki, przenosząc wzrok na dziewczynkę i zarzucając na nią swój kozuch szoferski.

— Bo mi ich tak szkoda! — odparła, chlipiąc.

— Niech panna Terka idzie spać po dobrej woli — a jak nie to zaniosę! Nie ma ich czego żałować! Mają siebie, mają o kim myśleć, do kogo i czego wrócić, na kogo czekać. To nie bieda ani nieszczęście. Zarazbym się z nimi na los pomieniał.

— A ja nie! Przed chwilą Ida dała Antkowi medalik na szyję i płakała. Ja też mam medalik.

— To niech go panna Terka da mnie, na szczęście.

— Chce pan? Naprawdę? Dam. I owszem. I niech pan do mnie napisze list, taki z obcą marką.

— A odpisze mi panna Terka?

— Rozumie się, że odpiszę. Ale pan mnie naucz, jak te druciki w łamigłównie rozplatać, ale pod sekretem, żeby Michaś nie wiedział.

Dobrze?

— Dobrze, ale już chodźmy do domu.

— I nie powie pan nikomu, że mnie tu znalazł?

— Żywej duszy nie powiem.

— No, to ma pan medalik. Prawdziwy jest, srebrny, z Częstochowy! Taki sam jak Idy.

Gdy byli już w sieni, wspięła się na palce i włożyła mu na szyję łańcuszek z medalikiem, szepcząc z przejęciem:

— Świecony jest — niech pan pamięta i pilnuje.

— Dziękuję, dzieciątko kochane! — szepnął, całując ją w głowę i prędko wszedł do stancji „Michałów”, gdzie miał swe stałe lokum od owego samochodowego wypadku. I długo nie mógł zasnąć, ogarnięty gorzką pamięcią swego dziecka, zmarłego z nędzy i poniewierki.

Nazajutrz całą gromadą byli w kościele, a następnego dnia był termin ich odjazdu.

Ida znalazła chwilę, że była sama z Sawickim i podała mu małą paczkę.

— Niech mu pan będzie bratem i starszym, doświadczonego w biedzie kolegą. A w razie choroby, czy ciężkiej potrzeby — od siebie tym poratuje! — rzekła po swojemu, spokojnie.

— Niech pani często pisze; ja o wszystkim doniosę. Głupstwo — wróci zdrów i cały. Żadne bydlę tyle nie wytrzyma co człowiek.

Białożor zaprowadził Sawickiego do siebie, gdy już konie były pod gankiem.

Dał mu także kopertę ładowną.

— Mieście to na czarną godzinę i jak razem odjeżdżacie, razem wracajcie — do swoich... Między nami niech się pan czuje jak najlepszy krewniak i przyjaciel!

— Dziękuję, panie. Zapamiętam! Uścisnęli mocno prawice.

Przeprowadzili ich wszyscy za wrota i patrzyli, aż zniknęli w oddali.

— Za trzy lata wrócą. Nasz kraj ma mocny głos na swoje dzieci wędrowne. Antek się skrzepi, tamten zmięknie i wrócą zdatniejsi do tutejszego trwania — rzekł pan Michał z cicha do Idy.

Życie potoczyło się dalej, pracowite, ciche, zamknięte w sobie. Minął tydzień i drugi, aż niespodziewanie zjawił się rzadki gość: Protasewicz.

Białozor był nieobecny, pan Michał przy nauce dzieci, przyjęła go Ida.

— Cóż tu u państwa słyhać? — zagaił stereotypowo. Zaśmiała się.

— U nas zimą nic nie słyhać, bo gawroni gaj pusty.

— Czy to prawda, że Jelc wyjechał za granicę?

— Tak.

— A dokąd?

— Nie wiem, bo dotąd nie pisał.

— A ojciec pani wziął w administrację Moroczne i Łucze?

— Ojciec nam nigdy o swych sprawach nie opowiada. To u nas nie w zwyczaju. Dzieci się uczą, ja pracuję. Może pana stryj objaśni. — I zostawiła go samego na chwilę.

Pan Michał, okazało się, też był nie do komunikowania nowin i wiadomości. Znali się z Protasewiczem od szkolnej ławy i wcale się nim nie krępował.

— Pytasz co się dzieje z Jelcem. Albo co? Został ci co dłużny, czy żyrowałeś mu weksel i grozi protest?

— Nie. Z chłopcami mieli konszachty, ale uregulował wszystko.

— No więc co? Córkę ci zbałamucił?

— Bałamucił Horniczównę i Jasiowi wlaź w drogę. A teraz zniknął, jakby coś grubo nabroił i musiał zmykać.

— To już sprawa śledczej policji i prokuratora, a Jaś ma wolną drogę do Horniczówny.

— Przyznaj się, że drapnął po tej interpelacji do sejmu! Bardzo przykra sprawa, podkopuje nasz prestiż.

— Trudno podkopywać coś, co w gruzu się rozpadło. Ty jeszcze czujesz, że masz prestiż? U kogo?

— No, zawsze! Tego! Przecież! — począł bąkać Protasewicz. — Jak niebądź — jesteśmy elitą.

— Co? Dla kogo? Elita? Bankruty, nieroby, bezmyślni lub lekkomyślni. Jeśli Jelc drapnął — to ze wstydu nad sobą — albo, by się wśród obcych nauczyć pracować. Miał tu doprowadzić się do ostatecznej ruiny, zmieniając weksle i żyć „kombinacjami”?

— Trudno też wymagać, żeby ludzie kulturalni zdziczeli i schamieli!

— Jak my! Dokończ — nie żenuj się. Pogodzeni jesteśmy z potępieniem, krytyką lub w najlepszym razie z drwinami z nas i żartami. Może i my nie wytrzymamy walki z obecnym systemem, polityką, stosunkami i warunkami, ale przetrwamy najdłużej i wytrzymamy najwięcej. Podobno w australijskim spalonym stepie króliki nauczyły się wdrapywać na drzewa i żyć liśćmi. To się nazywa przystosowaniem i przysposobieniem do nowych form bytowania. Czynimy jak te króliki. Nie chcemy zginąć!

— I Antoni zajął się Moroczną. Ostrożnie — pogroził palcem Protasewicz. — Na ten majątek ma zamiary ktoś możniejszy od nas wszystkich razem.

— W każdym razie nie pan Bóg, który jest najmożniejszy. Spróbujemy się.

— Najlepiej pilnować tylko swoich spraw.

— I to mówisz ty — zasiadający w tyłu komitetach powiatowych i wojewódzkich! Ale co do tego mam też inne zdanie. Widziałem kiedyś w lesie jak cietrzew pustoszył mrowisko. Potężny, czarny kogut ze stalowymi pazurami i dziobem. Mrówki — każda porwała po jednej poczwarcie i unosiła w bezpieczne miejsce. Broniły swego rodzaju przyszłości! I pomyślałem, że gdyby zamiast tego wszystkiego rzuciły się na wroga, zostałyby zeń suchy szkielet — garść

piór, na szczycie ledwie naruszonego mrowiska. Są chwile i warunki, gdy za mało jest myśleć i czynić tylko dla siebie. Ale to zrozumienie przychodzi po klęsce — niestety — i dlatego cietrzew odchodzi syty, zburzywszy mrowisko.

— Ho! ho! Apostołujesz rebelii! Gdy mamy wreszcie ojczyznę i własny rząd!

— Apostołuję rebelii i spiskowi na własne wady i grzechy. Giniemy tylko z własnej winy. To nas zmoże, zgnębi i zmiecie z tej ziemi, której ani kochać, ani utrzymać, ani obronić nie potrafimy, bo nie chcemy!... Jeśli Jelec wyjechał po zarobek i pracę na obczyznę, zamiast tu próżniaczyć i upierać się przy starych formach bytowania, miał rację.

— To dlaczego wy głosicie zasadę trwania na zagrożonych placówkach?

— Bo my mamy moc trwania, a on był zarażony nagminną chorobą swej klasy. Zresztą jest dorosły, długi swe spłacił, rodzinę siostry zabezpieczył — miał prawo czynić, co uznał za słuszne.

Protasewicz machnął pogardliwie ręką i zaczął mówić o innych sprawach łgarstwa plotek, skandali, krytyki, obmowy. Na to pan Michał wcale nie reagował i półuchem uważał, a gdy gość wreszcie wyjechał, rzekł do Idy:

— Będą mieli na parę tygodni temat do gadania, ale ty — weź święcone wianeczki i wykadź dom po tym powietrzu!... Więcej nas napastować nie będą!

XI.

Po paru krótkich kartkach z drogi emigranci zamilkli i dopiero w końcu lutego przyszedł list od Sawickiego do Idy.

„Proszę Pani, zastępuję pana Jelca, który tak ma zerwane palce dojeniem krów, że nie może utrzymać pióra.

Naprzód nie ma tu pana Jelca ani Stefana Sawickiego: jest Monsieur Żelek i Monsieur Sawiki — a często i bez „Monsieur”. Żelek dogłada i doi krowy, a Sawiki prowadzi traktor na fermie u pana Denis. Węgla nie ładowaliśmy w porcie, ale szuflowaliśmy arachidy — te orzeszki, co za młodu kupowałem na straganach w Bobrujsku. Potem dostaliśmy się z rekomendacji pana Osieckiego na tę fermę o dziwnej nazwie miejscowości. Patron, tj. właściciel, tłusty Francuz, pracowity, brudny, często bywa pijany; patronka, madame Denis, chuda, skąpa, wrzaskliwa „Herod — Baba”, wszystkim trzęsie. Wycisnęliby z robotników ostatnią kroplę potu. Pod tym względem zgodne stadło. Zresztą on jej wymyśla, a ona go bije — jak jest pijany. Jest winnica, pole kalafiorów i pomidorów i krowy. Można się nauczyć ogrodnictwa, uprawy winogron, sprytu kupieckiego i zajadłej pracowitości. Chodzimy zawsze brudni i mało co odziani, a tak nas męczą, że z początku pan Jelec zachorował i chciał uciekać, ale potem się zawziął i zostaliśmy. Myślę, że zostaniemy do winobrania, żeby choć użyć i wykapać się w moszczu. Ja — co targ — wożę do miasta jarzyny, mleko i jakieś cuchnące sery, które preparuje panna Zefiryńka, córka patronów, i tam, w ciżbie różnego tatałajstwa, przepatruję, przepytuję, przesłuchuję.

Panu Jelcowi najgorzej dokucza brud, pot, gorąco i mieszkanie z pięciu kolegami, spod ciemnej gwiazdy drabami. Jeden chciał kiedyś zadusić patrona i ledwieśmy go obronili. Od tej pory Denisy nas szanują, ale tamci gotowi zakatrupić, więc się uczymy boksu i japońskiego systemu obrony. To bardzo zajmujące i przyjemne. Kurs ten przechodzimy w niedzielę. Jedziemy wtedy do miasta, a uczy nas Japończyk z cyrku. Z resztą wszystko w

porządku i prosimy o wiadomości z kraju, a mieliśmy już trochę pieniędzy, ale wydaliśmy na tego Japończyka z cyrku — na nic złego.

Sługa Stefan Sawicki”.

Koślawo, drżąc dopisał Jelec:

„To nieprawda, żem chciał uciekać, tylko myślałem, że umrę — ale żyję, i to już przeszło. Chciałbym ci przesłać fotografię moich rąk — ale przestraszę.

Twój Antek”.

Ku wielkiej zazdrości Michasia, Terka otrzymała też karty z widokami.

Następnie przyszedł list od Jelca:

„Thais moja — jesteśmy znów na odlocie, jak ptaki wędrownie. A stało się tak. Przed paru miesiącami w jakąś wolną niedzielę wracaliśmy z cyrku na pociąg i w jakiejś uliczce natknęliśmy się na bójkę. Jakieś dwa draby obrabiali pijaka. Podobało się nam, że powalony i szarpany, zamiast wołać ratunku, kłął po angielsku Francuzów. Pomogliśmy mu, bo byliśmy właśnie po lekcji boksu, i przepędzili kanalie. Wtedy Anglika zupełnie osłabionego wzięliśmy na ręce i zanieśli do apteki, gdzie go przede wszystkim otrzeźwiono. Wtedy on nas zaprosił do baru, gdzie się znowu upił, ale że przedtem podaliśmy sobie wzajemnie nazwiska i adres, więc odwieźliśmy go jak tłumok na statek. Resztę nocy spędziliśmy na dworcu, bo nasz pociąg dawno odszedł. U Denisów za to spóźnienie byłoby pewnie piekło i potrącenie zarobku, ale trafiliśmy właśnie na awanturę z robotnikami, którzy zażądali wyższej płacy i zagrozili odejściem. Nie było tedy czasu i okazji nam grozić, gdyśmy wrócili do swych zajęć, wcale w całej akcji nie biorąc udziału. Wtedy ci „koledzy” zwrócili się do nas, wymagając solidarności. Ale nas porwała pasja „pańska”; ja zacząłem kłąć po francusku, a Stefan po moskiewsku, cały swój żołnierski repertuar, a gdy nie odstępowali, zdaliśmy drugi raz celująco egzamin z kursu u Japończyka. Skończyło się na tym, że poszli precz, a my zostaliśmy. Stefan naturalnie w mig skorzystał, żeby przekonać patrona, że byle nam drożej zapłacił i dobrał dwóch Negrów to wydolimy z robotą i sprawa została załatwiona ku ogólnemu zadowoleniu. Rozumie się, że Negry mnie zastąpiły w dojeniu krów, awansowałem na robotnika w winnicy i dostaliśmy lepszą kwaterę i wikt. Roboty przybyło, ale i trening postępował, a przy tym traktowano nas inaczej...

Aliści w parę dni potem zjawił się Anglik. Odszukał nas, przyjechał podziękować, zaprosił na przyszłą niedzielę do miasta — na statek, który stał w porcie dla jakichś reperacyj i ofiarował nam nagrodę. Stefan splunął, ja się roześmiałem i jakoś pół po francusku, pół po angielsku, a przeważnie na migi wytłumaczyłem, że ani gościny, ani nagrody nie chcemy, ani przyjmujemy.

Nie okazał ani zdziwienia, ani obrazy — powiedział „all right!” i zaproponował nam pracę u siebie — w fabryce mydła w angielskim Kongo. Wynagrodzenie było wysokie, podróż darmo, warunki łakome. Przetłumaczyłem tę propozycję Stefanowi, ale ten powiada: zwojowaliśmy Denisów, dali nam cośmy chcieli, znamy ich i robotę i raptem na propozycję Inglisza, pijaka, powleczeni się dalej w tę dzicz obcą. Denisy powiedzą słusznie, żeśmy taka sama hołota jak ta, co onegdaj stąd poszła. Zgodziliśmy się do jesieni — i dotrzemy. Powtórzyłem Anglikowi naszą decyzję — znowu powiedział „all right” i podał nam rękę; Stefan na pożegnanie dał mu dziesięć franków i powiedział „have a drink!”* — jedyny zwrot, którego się nauczył po angielsku.

Roześmiał się — wziął — i dał nam notatnik, żeby mu wpisać wyraźnie nazwiska, wiek, narodowość i wyznanie, a wreszcie powiedział: „well, well — August!”* i pojechał. Mieliśmy potem afrykańskie lato!

Oj, Thais, najcięższe jest nabranie odporności na brud, obcowanie z chamstwem tutejszych obyczajów, niechlujstwem, ordynarnością, mściwością i łajdactwem. Pięść, nóż kopniaki,

* *Have a drink* (ang.) — masz na kielicha.

* *Well, well — August* (ang.) — a więc niech będzie sierpień.

złodziejstwo — na to trzeba być przygotowanym. Żeby nie Stefan skonałbym w pierwszym z tym zetknięciu, ale jego zahartował byt sołdacki — sam się obronił i mną kierował.

No i stosunki pracy. Z jednej strony wyzysk drapieżny — z drugiej nienawiść, lenistwo, mściwość, niesumiennność, triumf motłochu nad pracodawcą, przy każdej sposobności, gdy można go zrujnować, zaszkodzić, a przynajmniej dokuczyć. Wszyscy są rozdrażnieni, w ciągłej, bezustannej wojnie, i doprawdy nie wiem, która strona wstrętniejsza.

Tutaj my dwaj stanowimy wyjątek, bronimy się od jednych i drugich, ale bez nienawiści, omal nie z humorem. Przechodzę szkołę pracy i wytrzymałości, ale mam ciebie, swoją ziemię, swój dom i odbywam jakby ciężką służbę, naukę mozolną, może karę za poprzednie życie bez celu. O, teraz cel mi jasny — w najcięższej pracy mam pewność, że się to skończy, że wrócę, że każdy dzień zbliża mnie do ciebie i do swoich. Ze Stefanem jestem jak z bratem i on wie, że koleżeństwo zostanie przez życie. Ma fach w rękę i wprost genialne zdolności do mechaniki, projektujemy więc, że za powrotem będzie miał warsztat w Zahościu — i w nas — jakby rodzinę.

I żyjemy tak — obok tamtych — nietroskliwi i niefrasobliwi. Co najdziwniejsze, żeśmy się stali oszczędni, skąpi i zbieramy grosz do grosza! Czy uwierzysz temu.

Otóż ujeżdżwszy Denisów, zaczęliśmy po trosze komenderować Negrami, którzy mają większy respekt dla naszych pięści, niż dla tłuściocha patrona i jego sekutnicy żony. O Zefiryńce nie ma co mówić, słucha Stefana na gwizdnięcie!

No i tak dotrzyaliśmy umowy i terminu. Raptem zjawia się nasz Anglik.

— August! — powiada.

— Have a drink! — produkuje swoje Stefan.

Śmiejemy się wszyscy trzej i jedziemy do miasta. Tam na libację wyciągam Osieckiego, który ma kantor przewozowy w porcie i po angielsku kuty na cztery nogi.

— Pomóż nam zrozumieć, czego ten Inglisz chce od nas?

Okazuje się, że on nas umówił do swej fabryki mydła, Stefana do maszyn, mnie do magazynu arachidów, i żeśmy obiecali zająć posadę w sierpniu.

Gadał, gadał, żeśmy go uratowali od śmierci, żeśmy go potem pijanego nie okradli, ale odwieźli na statek, że Denisy za nic nie chcieli nas zwolnić, choć dawał odstępnę, żeśmy zostali do terminu, pomimo większej płacy i że on nas ma za gentlemenów.

Osiecki zasięgnął informacji o tej firmie, o położeniu, o dojeździe, o warunkach i powiada: Jedźcie, solidna buda, okolica zdrowa, płaca przyzwoita. Jużeście frycówkę odbyli, nie dacie się byle czemu. Anglik to w was ceni, żeście nie syndykaliści, Polacy i „weseli chłopcy!” Podpisaliśmy kontrakt, odebraliśmy z banku nasze oszczędności, ofotografowaliśmy się, jako curiosum dla was (mam nadzieję, że tych straszyleł nikomu nie pokażesz), i pojechałem do Denisów po rzeczy i resztę zapłaty. (Stefan ze strachu przed Zefiryńką od razu się schował na statek).

Złość i zawód wyładowali na mnie, trochę orznęli w rachunku i skończony był pierwszy etap naszej wyprawy po wrażenia i złoto.

A wiesz, Thais moja, gdy pomyślę o przeszłości: o wekslach, terminach, nakazach płatniczych, ubezpieczeniach od wypadków i tej roli prześladowanego obszarnika — wolę moją obecną nędzę i żywot włóczęgi. Za tobą tylko mi chwilami strasznie tęskno, ale cóż, gdybym teraz wrócił — wiem, żebyś mnie przegnała z powrotem — jako zbiega, więc...

Posyłam wujowi Michałowi, ilem zdołał zebrać, a Tobie moje serce i uczciwą duszę. Stefan dla Terki posyła zbiór pocztowych znaczków z różnych świata stron. A piszcie często i o wszystkim. Nazywamy się znowu inaczej; ja Dżilik, a Stefan Seuiki, uczymy się angielskiego. Zdaje mi się, że w końcu nie będziemy umieli żadnego języka i pozapominamy prawdziwych nazwisk...”

Fotografia, którą oglądano w Nietroni, był to wizerunek dwóch drabów, chudych i smagłych, ostrzyżonych przy skórze, odzianych w znoszoną, dość brudną odzież i śmiejących się. Pan Michał obejrzał i rzekł:

— Może ty poznasz ukochanego oczami duszy, bo ja dalibóg nie wiem który.

Potem się zamyślił i dodał:

— W modzie są teraz konkursy i czempionaty sportowe, obozy harcerskie, przysposobienie wojskowe, różne „wyczyny” fizyczne dla sławy i rozgłosu. Czy by nie były wskazane takie konkursy pracy i wytrzymałości — nie dla sławy, lecz dla przysposobienia do wszelkich zmian losu i niespodzianek, które życie płata? Tych naszych czempionów nawet kataklizm nie pozostawi bezradnych i wykolejonych. Ano, niech pionierami chociażby będą!

Zgarnął przysłane pieniądze.

— Wydam to na geometrę, który raz przecież łuczańskie wypasy i sianożęcie zmierzy i okopcuje. Trudno przy obecnych podatkach rządzić się granicami z czasów Jagiellonów...

W parę miesięcy potem przyszedł list od Sawickiego.

„Szanowny Panie Doktorze. Robimy mydło. Cuchnie to i brudne, chociaż ma służyć do czystości, a właściwie służy panom Jenkin, Slate and Comp. Limited do robienia funduszu. Arachidy to taki orzech, który Negry wtykają w piasek i potem sam rośnie. Są tego sterty, które pan Dżilik waży, sprawdza i magazynuje, a ja mielę. Papranina obrzydliwa. Anglik — zupełnie inny gatunek jak Francuzy — mało gadania, rygor spokojny ale nieubłagany. Na innych ludzi patrzą z obojętnością, jako na stworzenia przeznaczone do spełniania woli synów Wielkiej Brytanii. Ale płacą dobrze i są sprawiedliwi. Mamy pomieszczenie i wikt przyzwoity wśród białych. Wszystko kolorowe, żółte, czerwone i czarne — odseparowane. Mam pod sobą dziesięciu smoluchów. Maszyny pierwszorzędne. Kraj paskudny: albo leje bezustannie, albo piec ognisty, w którym wół by się upiekł na sztuface. Nasz Anglik dowiózł nas, ulokował i pojechał na urlop, bo tu nikt długo wątroby zdrowej nie zachowa. Dyrektor — jeden ze wspólników — pan Slate, robotę nam wskazał, potem puścił na własne siły — i tylko czujemy, że nas obserwuje i szpieguje. Kobiet wcale nie ma, boć nie można rachować Murzynek.

O ośmiogodzinnym dniu pracy mowy tu nie ma, pracujemy pół doby — na dwie zmiany — można wytrzymać. Kto nie może, czy nie chce, może sobie szukać lżejszego chleba. Żadnego gadania i protestu. Prawdziwa swoboda, wolność. Wytrzymasz — dobrze, nie wytrzymasz — rzuć grę!

Anglicy pewnie zakłady robią na nowicjusza i dlatego nas tak śledzą i szpiegują. Pan Jelec dowodzi, że Master* musiał się grubo na nas zaangażować, bo nas obserwuje z widoczną ciekawością. Czasami udajemy zupełne wyczerpanie, żeby go wystraszyć. Wyszliśmy i szernieli, jak przesuszone daktyle, ale nawet niewiele łykamy chininy. Zresztą nie ma tu gdzie i na co wydać pieniędzy, ani gdzie się zabawić, Droga to rzeka, po której rzadko kursują statki. Przywożą tandetę dla Negrów, a ładują skarby i każdy zadowolony. My też po trosze kupujemy różności i zarabiamy. Tak więc posyłam panu doktorowi sto funtów z prośbą, aby mi wypatrzył jaką chałupę w Zahościu i plac. Jak wrócimy, założę warsztat — i umrę burżujem. Angliki na wigilię jedzą indyka, a całe życie piją wódkę z sodową wodą — straszne paskudztwo. Ale zawsze, wolę ich od Francuzów. Piękne ukłony wszystkim, Seuiki”.

W święta poszedł do Jelca list od Idy.

..Drogi Antku. Rocznicą waszego wyjazdu i patriarchalne święta z serdeczną o was myślą. Zeszczupłała nasza gromadka, bo dzieci w szkołach. Chciał je ojciec sprowadzić, ale oboje odmówili, ze względu na koszt. Stryj się do Lwowa wybiera po Nowym Roku, a ja do Terki. Jesienią, jakeś chciał, stryj kupił szczep owocowych i posadziłam je w Łuczy osobiście. I trochę róż także przed domem. Kulesza dobrze się sprawnia. Jesienią skupiliśmy po

* *Master* (ang.) — pan, gospodarz.

jarmarkach sto owiec, bo były bardzo tanie, a stryj rachuje, że to będzie początek inwentarza i że z tym najmniejszy kłopot. Edmund trwa na posadzie, a że jakaś ciotka zapisała mu trochę gotówki i klejnoty — chce kupić dom w Brześciu i skoro dzieci zaczną podraść, zabierze tę gromadkę do szkół. Ale to dopiero za trzy lata. W tym roku nic tam nie przybyło, a jedno z bliźniąt umarło.

U nas na Matkę Boską Gromniczną prymisja Gabryka. Pamiętaj być myślą i pamięcią z nami. Mówił, że za nas się modlić będzie. Posyłam ci kilka książek, co najładniejsze, które w tym roku wyszły. A podzieliliście się opłatkiem pocziwie robociarze? U naszego stołu były wasze miejsca. Myślę, że jest takie radio duszne, które nawzajem słyszymy! Prawda? U nas Bóg łaskaw. Rok był dobry i ceny możliwe. Ojciec Moroczną się opiekuje i bywamy u siebie. Ciotka Ludwika często tam przesiaduje, a ja ojca podczas wyjazdu wyręczam. Zapomniałam Ci donieść, że jesienią Jan Protasewicz ożenił się z Horniczówną i dotąd bawią za granicą. A Protasewicz ojciec jest kandydatem do Sejmu.

Antku, ja jestem pewna, że ty wytrzymasz, ale zdrowia nie zrywaj! Przed nami długie, pracowite życie, pamiętaj!”

List był, jak cała Ida, prosty, krótki, rzeczowy, ale Jelec znalazł w nim dla siebie wiele, wiele rzeczy drogich i ucałował te linie, gdzie pisała o różach, które posadziła przed domem i to zakończenie o długim, pracowitym życiu we dwoje. A tymczasem życie biegło po osobno i minął rok drugi — pracowity, kłopotliwy, przebojowany, przetęskniony.

Małe, nieznaczne dźwiganie w Nietroni i Łuczy, bardzo znaczny zanik ogólnego dobrobytu w kraju i na świecie...

Nad Polesiem leżał smętek jak tuman, gdy późną jesienią przyszedł list od Jelca:

„Tais moja — stoję na rozdrożu w szarpaninie, rozterce i niepewności. A przecież jestem zwyciężcą. Przebyliśmy tutaj dwa lata coraz ciężej i w coraz odpowiedzialniejszej pracy — przetrzymaliśmy wszystkich. Od kilku miesięcy wskutek śmierci głównego inżyniera posadę zastępczo powierzono Stefanowi, ja zaś musiałem wyręczać stale Slate, który został ciężko okaleczony na polowaniu.

Co prawda nie targowaliśmy się, ani drożyli, trudno, stał się wypadek, katastrofa! Białych tu nie ma wielu do wyboru, a nim z Anglii sprowadzą „*on se debrouillie*”^{*}, jak mówią Francuzi. No i tak się to pchało zanim pan Jankins — szef firmy — zjechał, ale sam! Rozejrzał się, nos wszędzie wetknął, ze Slatem pobełkotali, fajki z zębów nie wyjmując, i zawołał nas do kantoru. No i, wyobraź sobie, proponuje byśmy te zastępcze posady zachowali i kontrakt odnowili na następne dwa lata. Stefan się śmieje. Z szofera na inżyniera bez dyplomu, to znaczy z pensją szoferską. A ja mówię: chcę do domu wrócić, i ożenić się — dziesięć lat na to czekam! A on powiada: ja czekałem czternaście, zanim się dorobiłem, tyle żeby żonę i dzieci utrzymać. Wyjmuje księgę i zaczyna nasz czas owego zastępstwa obliczać i płace.

Stefan ścichł, a Jankins mu kładzie czek i mówi: oto mój dyplom, a potem mnie daje drugi i mówi: a to na kapitał dla nowego gniazda. Ja was chcę i będę miał — umiecie pracować i ludźmi rządzić, a ja umiem ludzi cenić. Podpiszcie kontrakt na następne dwa lata.

— Nie — powiadam ze złością. — Pomyślmy! Nic nie pili. Od roboty się nie cofamy na obecnych warunkach, ale podpisywać cyrografy będziemy trochę później. Stefan decyduje się, zgarniając czek. I na tym trwa dotychczas. Tais — napisz, jak zdecydujesz! Tais, zdecyduj, żebym wracał! Zlituj się — nie każ mi tu zostać. Przecie zwyciężyłem, wytrwałem, mozołem rąk zdobyłem stanowisko i uznanie. Dosyć! Mogę wracać! Prawda? Przecie nie napiszesz, żebym został!...”

Ida odczytała list i splótszy ręce, zapatrzyła się w mroczny, szary dzień dżdżystej jesieni.

I oto za oknem ukazał się pan Michał, w burce ociekającej wodą, i począł wołać:

^{*} *On se debrouillie* (fr.) — Radzimy sobie.

— Ido, jeść i ognia na komin! Suchej nitki na mnie nie ma. Zerwała się chwyciła klucze, skoczyła do kuchni i gdy się przebrała,

znalazł już w jadalni posiłek oraz ciepło płomienia.

— Uf, a tom się zmachał! — odsapnął, gdy zaspokoił pierwszy głód. — Cóż tu przez ten tydzień się stało?

— Ojciec ma dziś wrócić z Warszawy. Załatwia jakieś sprawy moroczańskie w banku. Posłałam konie na kolej. Młockarnia szła pięć dni. Dziś pauza, bo zakładają nowy dyszel do kieratu. Parobcy rzną sieczkę.

— Były listy od dzieci?

— Były. Zdrowe. Michaś zapisał się na kursy wieczorne w orkiestrze. A co w Łuczy?

Same biedy. Edmunda zredukowano. Już siedzi i zrzędzi. Zawaliła się obora, a dach na domu jak rzeszoto. Sprowadziłem majstrów, trzeba trzy tysiące złotych. Dzieci pochorowały się na szkarlatynę i gmina wyznaczyła opłat szarwarkowych półtora tysiąca... Jelec nie pisał?

— Owszem. Dobrze im się powodzi — awansowali.

— No to i wybawienie z biedy. Myślę w tej desperacji: chłopcy z Ameryki ślą pieniądze, kupują ziemię, stawiają piękne domy, kiedyż nasi to samo potrafią! Zaraz mu napiszę, żeby swoją Łuczę podparł w potrzebie.

Ida chciała coś powiedzieć, ale tylko wstała i poprawiła ogień na kominie.

A pan Michał rozochocony roił:

— Żeby przysłał po cztery tysiące przez dwa jeszcze lata, to by stanął na nogi solidnie. Dźwignęłoby się folwark, dokompletowało inwentarze, wytrzebiłoby się łozy z najlepszych sianożęci i wtedy sam czart by go nie wydarł z ziemi. Swoją drogą, zuch chłop — zdał egzamin z przysposobienia do pracy i życia... Ot i Antoni wraca! — dodał patrząc przez okno.

Białożor był równie zmoknięty, zdrożony i głodny.

— Oj, dom, kochany dom z wami! — rzekł, zasiadając wśród nich i przesuwając rękę po głowie Idy. — Wraciałem jak z piekła do rajku.

— Uzyskałeś jaką ulgę?

— Trochę. W tych warunkach — byle jako tako trwać. Ale wrogów sobie zrobiłem z Protasewicza i Nietykszy, z tego powodu, że Szyrmicz w dzierżawę wszedł — i już cała okolica przeciw mnie. Żebym dziewiątą część tego popełnił, co mi zarzucają plotkując, to bym wart był kryminału i piekła. A u ciebie w gospodarstwie, córuś, co dobrego?

— Wszystko dobrze, tatusiu! Żyto sypie doskonale. Sprzedałam karmniki* i gęsi, bo ceny spadają.

— Masz rację. Mam wrażenie, że nadchodzą znowu trudne czasy i okres biedowania.

— Niedługa była ulga. Ale oto i Jelec na swoim postawił. Pisał do Idy. Nabraliśmy mocy wszyscy!

— Ba, żebyż wszyscy! — stęknął Białożor. — A gdzie wuj Kajetan?

— Pojechał obejrzyć pasiekę u Nietykszy — chcą sprzedać, bo ogrodnik odchodzi.

— To ma być na twój posag do Łuczy, mówił mi pod sekretem! — zaśmiał się pan Michał. — A pokaż no list Michasia! A zatem znowuż trąbić się mu zachciało!

— Stryjowi tęskno za faworytem! — uśmiechnęła się, podając list.

— Nie tyle tęskno, ile trwożno, by go nam nie zbałamucili. W domu z tobą dobrze i spokojnie.

Spojrzała na ojca. Spojrzał na nią jasnymi oczami i powtórzył:

— W domu z tobą dobrze!...

* Karmniki (reg.?) — tuczники.

Ostatni wrócił dziad Kajetan, rozpromieniony, bo dziesięć pni pszczoł kupił tanio, starannie oszacowawszy, że zdrowe i zasobne. I on patrzył na Idę serdecznie, uśmiechając się tajemniczo.

A po wieczerzy obsiedli, jak zwykle, jadalny stół, każdy czymś zajęty, gwarząc o dalszych planach i zamiarach, o pracy, pracy, pracy. Mniejsza była gromadka, ale jakże mocna i jak ofiarna, i jak jednomyślna.

Od roboty przy szyciu bielizny odrywała oczy swe Ida i patrzyła po nich. Pan Michał ślęczał nad planem Łuczy. Białożor pracowicie sumował cyfry mroczańskich ciężarów, stary, w okularach, studiował pilnie nowe systemy uli.

Za oknem stała się czarna noc jesienna, Ida zastanawiała się, czy odejdzie od tych ludzi na swoje i czy ich zostawi samych, gdy mówią z serca, że dom im miły z nią i gdy rozumie, jak im potrzebna, konieczna, niezastąpiona.

Pochyliła się nad robotą, zacisnęła usta, przymknęła oczy.

Czy pokazać ojcu list, spytać o radę?

Po co? Zgodzi się — dla jej szczęścia. Czy wtedy mu rzec, że gotowa jednak zostać, jakby im czyniła jałmużnę i ofiarę z tych paru lat osobistego życia?! Każdy z nich pracował przecie i dla niej, nigdy o tym nie mówiąc, ani może nie czując ofiary. Nie powie, nie spyta i odpowie jemu: zostań!

Tej nocy długo się świeciło w okienku u Idy i nazajutrz poszedł list:

„Antosiu mój! Nigdy jeszcze nie czułam tak mocno, jakiś mi własny i kochany, jak w tej chwili, gdy ci piszę: zostań tam! jeszcze nie wracaj! Widzisz — czuję, że gdybym teraz stąd odeszła, zrobiłabym krzywdę ojcu i stryjowi, i stanąłby cię tej krzywdy na progu naszego życia, a ja chcę, byśmy w słońcu na tę drogę wspólną poszli.

Ty mnie zrozumiesz, bo się tak do gruntu znamy, że ich zostawić samych nie mogę — nie możemy — prawda? Stryj dla nas pracuje w tej Łuczy naszej i wzywa twej pomocy, boś przecie już można swą pracę. Ojciec musi mieć w domu pomoc i gospodynię, choć jeszcze te parę lat, aż Terka dorośnie. Całe życie dla nas dał — jeśli jesteśmy coś warci — jemu to winniśmy.

Jego przykład i na ciebie promieniował. Nie godzi się nam zawód mu zrobić.

Piszę to wszystko nie dla ciebie, ale wszystkie myśli i całą własną walkę — ze sobą. Ale tak trzeba zrobić i zrobimy.

Napisz mi, że tak dobrze, że tak uczciwie, że tak mocno — po naszemu. Napiszesz, kochany, prawda? Twoja Thais”.

List poszedł i długo nie było wieści, aż otrzymał pan Michał awizo z banku na sumę, którą się zdumiał.

— Ki diabeł! Cyrograf na duszę podpisał, czy diament znalazł w tej Afryce!

Jednocześnie prawie przyszedł list od Sawickiego:

„Szanowny Panie Doktorze! Omal nie wróciliśmy, ale coś do pana Jelca przystąpiło i pomieszało nasze plany. Wziął mnie ze sobą do kantoru i godzinę szwargotał z Ingliszem. Małom co rozumiał, bo rozumiem ten język w druku, ale w bełkotaniu, jak połowę połkną, już zupełnie baranieję. Gadali, gadali — wreszcie zaczęli pisać i podpisywać, i pan Jelec mi powiada: „podpisuj i ty!” Co miałem robić! Wstyd się było przyznać, że nie rozumiałem, a pismo Jenkinsa bardzo nieczytelne, więc dla pozorów niby przejrzałem i podpisałem. Pokazało się, że to był kontrakt na drugie dwa lata i kupa pieniędzy z góry.

Teraz już zmurzyniejem do szczytu. Narośnie nam czarna wełna na głowie, a biała skóra zostanie chyba na podeszwach. No, ale co miałem robić! Podpisałem — i nazywam się Master Indżynir — i mieszkamy, i obiadujemy, i gramy w golfa z naczałstwem.

Wszystkie opony ze wszystkich maszyn, którymi woziłem burżujów, popękałyby ze śmiechu na mój widok, jak się przebieram do obiadu i jak pokazuję sztuki w tych głupich angielskich sportach.

A pan Jelec zupełnie zangliczał. Patrzy z góry na cały świat, nie wyjmuje z zębów fajki i pije tę obrzydliwą sodową wodę z wódką, i klnie: damned!*

Posyła do kraju swe zarobki, i ja dołączam sto funtów na tę moją habendę* w Zahościu, ale postanawiam sobie wydębić urlop i choć trochę zobaczyć co innego niż Anglików, Negrów i mydło Jenkinsa.

Wszystkim piękne ukłony. Inżynier Sawicki”.

Ida otrzymała list ostatnia:

„Moja, nie będę gorszym od Ciebie, a jak skrzywdzę — to tylko siebie. Niech będzie po Twojemu. Ale musiałem się zaprzedać i cyrograf podpisać, żeby nie mieć pokusy. Ale przecież muszę być człowiekiem, za jakiego mnie masz! Wmówiłaś to we mnie! Twój!”

* *Damned* (ang.) do diabła.

* Habenda (z łac.) — w dawnej Polsce niewielka posiadłość wiejska.

EPILOG

Było słoneczne lipcowe popołudnie.

Na łanie w Nietroni zwożono żytnie kopy. Jak zwykle pracował osobiście Białozor, pomagając ładować snopy, a na jednym z furgonów układał je Michaś z Terką, starając się zabrać jak najwięcej.

Zgrzani byli i podnieceni tą robotą i wyścigiem w zręczności. Świat był złoty od słońca i zionął ciepłem i wonią pól.

Na szczycie fury, stojąc i jadąc ku dworowi, Michaś dojrzał człowieka, który biegł od jeziora w tym samym kierunku przez łan, na drogę nic bacząc.

— Co się stało w Medwidle, że Ohryzko pędzi? — rzekł do Terki.

— Może grzyby się wysypały. Pojedziemy choćby jutro.

— Zwózki jest jeszcze do końca tygodnia.

Dojeżdżali do stodoły, gdy Ohryzko jednocześnie dopadł. Pan Michaś stał z widłami na progu szeroko rozwartych wierzei. Co tam, Ohryzko? — zawołał. Niestety, panie. Zabili naszego orła!

— Kto?

— Cała kupa. Wielka łódź, pełna! Był hrabia z Rydwian, i młody pan Protasewicz, i pan Nietyksza i jakieś naczalstwo... Obławę zrobili, ktoś wyszpiegował, gdzie poluje, ktoś doprowadził. Wypląnąłem naprzeciw, krzyczałem, że to nasze grunta i wody — śmiali się, a potem jeden kazał mi won iść i nie przeszkadzać. A właśnie on nadleciał, do gniazda żer niósł — dali kilka strzałów — skręcił, uszedł, ale widziałem, że tknięty i ruszyłem za nim, a ich łódź na prości utknęła... Zabili — znalazłem!

— Gdzie?

— Tu, na jeziorze, w zatoczce!

Michaś z fury się zsunął, pan Michaś widły cisnął i już biegli do jeziora.

Pobiegł z nimi Ohryzko — dopadli czołna i zepchnęli się na wodę milczący, z ponurą pasją w oczach, z dygoczącymi rysami.

Niedaleko, w małej zatoczce był! jakby do nich leciał, by skończyć.

Na rozpostartych potężnych swych skrzydłach na wznak leżał — królewski obszarpany władca pustkowie. Stalowe szpony zaciśnięte, zgasłe oczy ku słońcu zwrócone, na piersi krwawe plamy. Woda wsuwała go w tajnie szuwarów. Spojrzał nań pan Michaś.

— On! Samica została! A w gnieździe co? — zwrócił się do Ohryzki.

— Dwoje. Już krzepkie podloty.

Tedy „dwa Michały” spojrzeli sobie w oczy — aż w dusze!

Michaś się w łodzi przechylił, odegnał pięścią wstrętne, czarne raka, który na ten zewłok już pełzył i pod skrzydła wsunawszy dłonie wyjął go z wody.

— Pogrzebać go chcesz?

— Tak. Pod węgielnym kamieniem naszego nowego domu! — odpowiedział powoli młody, składając zamordowanego swego ptaka na szuwarach w łodzi.

I więcej nie rzekłszy słowa ni złości, ni pomsty, zawrócili ku dworowi...

Hruszowa, 21 lipca 1931

KONIEC